№ 49. Warszawa, d. 22 Listopada (4 Grudnia) 1869 roku.



Prenumerata wynosi: *w Warszawie kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Na stacjach pocztowych w Cesarstwie, Królestwie, za granicą i w Redakcji kwartalnie rs. 2 kop. 50. — Półrocznie rs. 5. — Rocznie rs. 10. Numer pojedynczy kop. 17. — w Krakowie prenumerować można w księgarni pana Friedleina.— w Poznaniu w księgarni pana Leitgebera, płacąc za półrocze 8 guldenów albo 5 talarów.*

Treść Numeru. Od Redakcji. — Listy o literaturze i literatach Warszawskich. — Na Prowincji, powieść w dwóch częściach przez Elizę Orzeszkową. — Listy brukowca Warszawskiego. — Wspólmieszkanie Ociemniałych. — Korespondencja z Paryża. — Kronika teatralna. — O ubiorach. —

Od Redakcji.

W przyszłym roku 1870 Tygodnik Mód wychodzić będzie pod temi samemi co dotąd warunkami, w takimże samym formacie i z dodatkami dotąd dołączanemi.

W części literackiéj oprócz artykułów treści naukowéj i korespondencji z różnych stolic Europy, pomieszczoną zostanie nowa powieść oryginalna w trzech tomach, pani Elizy Orzeszkowéj, któréj drukująca się obecnie praca zyskała ogólne zeznanie.

Upraszamy o wczesne nadsyłanie prenumeraty wprost pod adresem mieszczącym się w każdym numerze i z wyraźnem napisaniem nazwiska, miejsca zamieszkania i stacji pocztowéj z któréj zwykle listy są odbierane.

Prenumerata w Warszawie wynosi kwartalnie r. s. 1 kop. 80 z przesyłką pocztową do Cesarstwa i Królestwa kwartalnie r. s. 2 k. 50.

LISTY
O LITERATURZE I LITERATACH WARSZAWSKICH.

List I. Do.....

Warszawa w Listopadzie 1869

Treść: Czem są literaci — ich usposobienie — poeci Warszawscy — ich kierunek — Bogumił Aspis — Salwater — Sen odrodzenia — Pieśni Wschodnie.

Prosiłaś mię kiedym wyjeżdżał od was, bym przesyłał w cichy kącik wasz wieści o Warszawie jéj życiu społecznem. Mówiłem ci już wówczas, że jeśli chcesz, to mogę ci donieść co się dzieje w literaturze naszéj, która chociaż kulawo idzie przecież ciągle naprzód, ale nic więcéj. Przyznasz bowiem sama, że niewiele budzić mogą we mnie interesu te zabawy, których w każdym większym mieście zawsze jest pełno. O to i tobie wcale nie szło — a tylko wyłącznie o ruch naukowy i literacki. Chcąc więc zadość uczynić twojemu żądaniu, wreszcie dla własnéj koniecznéj potrzeby wylania moich myśli, spostrzeżeń i uwag, zabrałem się do nakreślenia tego ruchliwego i zmiennego co chwila jak Kameleon obrazka. Wypada mi jednak naprzód obznajmić cię choćby pobieżnie z szermierzami tutejszéj prasy, którzy dźwigają na sobie cały jéj ciężar. Są to bowiem prawdziwi szermierze, którzy co chwila rzucają na pastwę łaknącéj publiki cząstki swego ducha.

Ciernisty to żywot choć niby z wieńcem na czole bladem. A los to już taki czy przeznaczenie, czy fatalność wreszcie, że kto raz chwycił za pióro by wylać z piersi kipiące w nim uczucia, czy myśli, ten nigdy go już nie porzuci i jak palącą Nesusa sukienkę dźwigać na sobie będzie to znamię, literat.... W tym wyrazie, mieści się skarg morze, wcielenie bólów wszystkich tych co cierpią, co myślą lub płaczą. Niech co chcą bowiem mówią, ale temu trudno zaprzeczyć, że artyści i literaci inaczéj są uorganizowani jak inni ludzie. Natury to przeważnie gorące, wrażliwe do wysokiego stopnia nerwowe i.... niesłychanie drażliwe. I inaczéj być nie może. Albowiem ten, który chce pisać, lub malować, rzeźbić czy grać, musi zachwycić z ogromu stworzenia wszystkie owe cudne tony i barwy i głosy, które Wszechmocny rzucił w łono przyrody, by mu śpiewny pean grzmiała!... Trzeba więc mieć w sobie wielką ilość wrażliwości, téj czystéj karty w duszy, po któréj palec Opatrzności i natury piszą cudne zgłoski. A zgłoski te zlewają się z duszą w jednę całość przedziwnie piękną i kiedy przyjdzie ta smutna chwila, że trzeba je oddać na pokarm ogółu, to boleść wielka ogarnia duszę..... Ztąd znowu ten dziwny rozstrój nerwowy u literatów i artystów, to ciągłe niesłychanie czułe napięcie wszystkich strun dusznych do kamertonu, ta drażliwość wreszcie, która im zaćmiewa życie i tym co ich otaczają. Usprawiedliwię to moje twierdzenie późniéj nieco, kiedy przyjdzie mi opisywać wybitniejsze osobistości literackie i artystyczne Warszawy.

Widzisz więc, że dwa te rodzaje ludzi o których mówię, a na których wy na prowincyi patrzycie jak na pół-bogów, to negry, pijonery społeczne.... Pot im zimny z czoła spływa a ustać w pracy nie mogą Przyznasz sama, że to łzawa dola....

Lecz dość już téj gawędy, przejdę do opisania ci obecnego literackiego świata w Warszawie. Wiesz, że istnieją tu osobistości zasłużone dobrze w naszéj literaturze, osobistości zresztą znane wszystkim już to z pism tylko, już blisko bardzo. Do takich zaliczam A. E. Odyńca redagującego dziś kronikę Rodzinną, K. Wł. Wójcickiego kierującego Kłosami, Wacł. Szymanowskiego Kurjerkiem Warszawskim i innych.

O tych nic mówić nie będę, chyba że sama zażądasz, bym ci opisał szczegółowo którąkolwiek z tych osobistości,— ale zajmę się głównie światem młodym, tym światem co: „orlą ma lotów potęgę“ jak mówi poeta. Tym ciekawsza to rzecz, że oni kiedyś „dźwigać będą swemi plecy“ cały ciężar literatury naszéj. Wreszcie sama zapewne bardzo ciekawa jesteś tych orlątek młodych, probujących swego lotu, a jeszcze nieznanych tak ogółowi jak tamci, starsi. Spodziewam się, że mi będziesz za to wdzięczną.

Rozpocznę od poetów — boć to rzecz interesująca w czyje ręce Opatrzność złoży strzaskaną lutnię, starego harfiarza z wyspy Scios co grał ślepy szemrzącym falom Egejskiego morza. Dziś wprawdzie trudno sądzić — co będzie, przyszłość okaże, atoli zawsze warto naznaczyć sobie przynajmniéj kierunki jakiemi puszczają się te sokoły młode.

Mówią powszechnie, że w zimnych piersiach naszych wymarła poezya. Chociaż tak źle nie jest, by poezya całkiem już ze swych eterycznych krain nie spłynęła na ziemię. Przybiera ona tylko inny kierunek, wprawdzie znacznie niższéj wartości wewnętrznéj jak owe wiekopomne utwory, marzy o oczach z lazuru, o pocałunkach skradzionych kochanéj, lub zagłębia się w tonie filozoficznéj idei jakiejś.

Ów duch filozoficzny właśnie stanowi istotę tegoczesnéj poezyi tutejszéj.

Najwybitniejszym z młodych poetów przedstawicielem tego kierunku w Warszawie jest *Bogumił Aspis*. Poprzednio, bo przed kilku laty, kiedy ba-

wił jeszcze w uniwersytecie w Moskwie, wydał on poemat p. t. *Salwater* pod pseudonimem Jakóba Szatana. Poemat ten dzisiaj jest rzadkością bibliograficzną, przynajmniéj w Warszawie. Salwater to młodzieniec arcy bogaty, niefortunne trochę dziecię Bajronowskiego Don Żuana, który kocha się w cudownie pięknéj a ognistéj cygance. Zeszyt, który dotąd wyszedł nie kończy poematu, a jak mi wiadomo z dobrego źródła autor ma zamiar ciągnąć go daléj... Wiersz wprawdzie nie wszędzie piękny, ale dziwna, potężna siła, ogień rozkielznanéj zmysłowości i ironii przechodzącéj częstokroć w szyderstwo bolesne, przenika cały ten utwór. Już w nim przebija się duży talent, tylko jeszcze młodzieńczy, zuchwały, nieujęty w karby rozumu i myśli przewodniéj. Słyszysz jak po falach ciepłego i dyszącego wonią spokojnéj nocy powietrza, tulącego w sobie ojczyznę Leonidasa, płyną szepty i gwary miłosne, całunki, pieszczoty bez końca i granic a coraz szaleńsze, namiętniejsze. Są miejsca w których poeta ujęty żarem sensualnego poczucia piękna, maluje ci ognistemi barwy sceny niesłychanie drastyczne a przecież piękne... Rozuzdanie słowa, rozszalałość wyobraźni, bezcelowość wreszcie całego utworu o tyle o ile sądzić można z jednéj części, są głównemi cechami Salwatera. Poeta więc potrzebował uspokojenia się, oziębnięcia... To uspokojenie się, to ujęcie w posągowe kształty gorejącéj lawy wulkanu, jakim jest bez zaprzeczenia Aspis, wybitnieje dopiero w ostatnim jego utworze noszącym tytuł *Sen odrodzenia*. W tym utworze wreszcie uwydatnia się ów kierunek filozoficzny o którym mówiłem poprzednio. Dużoby można powiedzieć o tem dla czego taka a nie inna tendencja przenika ostatnie utwory poetyczne, ale nie mnie o tem pisać. Kiedy z piersi zdarto złudzenia kiedy marzeń zabrakło dla ducha, wtedy zwrócił się ku filozofii owéj matce spokoju. Czy jednak osiągnie ten spokój pożądany?... rzecz to inna a pytanie ciężkie...

Posłuchaj co mówi poeta na wstępie swego utworu zwątpiony i pełen niepokoju wewnętrznego:

„Słyszałem klątwy, słyszałem — modlitwy:
Widziałem cnotę i zbrodnię zawziętą;
Zgodę — w rozumnéj miłości poczętą
I wszczęte w głupiéj nienawiści —bitwy.

a daléj:

„Lecz dusza moja, głodem wiedzy drżąca,
Pełna naprzemian ekstaz i obrzydzeń,
Ślepiona czarem tylu sprzecznych widzeń.
Darmo szukała wśród nich:— Prawdy słońca!
Darmo pytała mądrych tego świata,
Wielkich derwiszów, proroków natchnionych,
O klucz do wszystkich tych dziwów stworzonych,
Które moc Boża w jeden dramat splata.
Pytała darmo, gdzie koniec powieści,
Któréj Bóg wielkie rozwarłszy stronice
I któréj dawszy napis — *Tajemnice*,
Dojść nie pozwala, co ta w sobie mieści.“

Wspaniały ten i dziwnie twardy obraz wewnętrznych niepokojów duszy, kończy poeta temi słowy:

„ . . . . . Tak marom dany na pastwę i nudzie,
Suchem ziewaniem wykrzywiając usta,
Po morzu cieni płynąc, jak łódź pusta,
Zagrzązłem w końcu cały w błocie — brudzie...
Aż pełznąc, gdzie mnie daléj zmora wlekła,
Przelażąc z kałuż do większych kałuży,
Gdym czuł, że nocy nie zniosę już dłużéj,
Stanąłem nagle u jasnych wrót — Piekła!“

Lecz piekło z oburzeniem odtrąca zwykłego śmiertelnika, uwięzionego jeszcze w kształty cielesne — wówczas poeta płynąc po cieniach i nocy, zrozpaczony tak daléj opowiada swą Dantejską wędrówkę:

„ . . . . . nagle świt ujrzałem,
A w nim na niebios widnokręgu białym,
Jak z wód wstającą cudną postać w bieli...
Szła w wyż, ciemności rozrzedzając w koło
Promienną strugą rozsypanych włosów;
Skroń miała w wieńcu z gwiazd utkanych kłosów,
W zorzy z rubinów samych — miała czoło...
Dwa dnie paliły się w jéj jasnych oczach,
Na licach grały poranku szkarłaty,
Lekkie, jak z piany morskiéj, miała szaty
I — skrzydła śnieżne, jak mgły na przezroczach.“

Była to sztuka która między innemi daje w końcu taką radę poecie:

„ . . . . . A ja ci znów na ziemię wskażę,
Znów na sterczące z jéj padołu grody,
Na te mrowiące się wśród nich narody,
Huczne ich życia targi i cmentarze,
I powiem: zstąp tam i żyj tam raz jeszcze!
I wziąwszy hasło moich rad w myśl, w siebie,
Powstań po jawnym swych błędów pogrzebie,
Wskrzeszeniem, jakiem zmartwychwstają wieszcze.
Sztukę — mnie biorąc za piastunkę sobie,
Miłością, którą daje tylko ona,
Przygarnij razem świat cały w ramiona,
Miłość i Wiedzę równo uczcij obie...
Kochaj, coś dotąd tylko mierzył, badał,
Wierz w to, co samem było ci zwątpieniem,
W ten krzyż się patrząc, idź za jego cieniem,
A idź, choć w drodze stokroćbyś upadał...
W końcu, gdy sam już jak Syzyf, zszarpany,
Poznasz, żeś zrobił *duch* z własnego ciała,
Wróć tu, gdzie zawsze będę cię czekała
I pod mą ręką podstaw swoje rany;
I powiedz, czem chcesz miejsca bolejące
Wyleczyć wtedy... czyć dość, czyć za mało
Snu, którym wówczas uśpię twoje ciało,
W którym ci *szczęścia* wskażę wreszcie słońce...“

Tak więc poeta ostatecznie znajduje ukojenie swych bólów w sztuce, w któréj się odradza. Czy to jest prawdziwem, nie będę tego rozbierał. Język czysty, wiersz jak widzisz z licznych ustępów, którem ci przytoczył, gładki, poważny, rzeźbiony, choć czasami zbyt twardy znamionuje ten utwór. Nie jest on skończonym i poeta przyobiecał nam dalszy ciąg p. t. *Życie*. O ile mi wiadomo, Aspis pisząc Sen Odrodzenia nie chciał przeprowadzać żadnéj myśli, ale jedynie nuda zmusiła do wylania kilkuset tych wierszy na papier. Trudno temu wierzyć, chociaż patrząc na niego niby ideał Heinego, łatwo uznasz prawdę w tem zdaniu.

Pominę tutaj drobniejsze jego utwory, a powiem jeszcze słówko o pieśniach Wschodnich, drukowanych w części w Wędrowcu. a które ma podobno zamiar wydać w całości w osobnéj odbitce. Tutaj uwydatnia się znowu owa płomienność sensualna, charakteryzująca Salwatera, tylko w dziwnie wspaniałą i ognistą formę ujęta, opowieści dziewczyny izraelskiéj, którą król Salomon chce zabrać do haremu swego, a która kocha się w młodzieńcu swego wyboru. Mojem zdaniem jest to najpiękniejsza praca Aspisa — i po niéj sądząc można go nazwać prawdziwym poetą miłości. Woń jaśminu, róż, mirry i cyprysów, nocy letnich, nieb gwiaździstych, pocałunków i rozkoszy biją z tych pieśni ognistym strumieniem. Prześliczne to jest i radbym przytoczył niektóre ustępy, ale list mój i tak już nabrał znacznéj objętości — o innych poetach opowiem późniéj.

Walery Przyborowski

NA PROWINCJI

POWIEŚĆ W DWÓCH CZĘŚCIACH

PRZEZ

Elizę Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

IX.

OPUSZCZONA.

Poruszyły się żwawo stacye pocztowe okolicy X. zabrzęczały wszystkie telegrafy parafjalne i po dworach i dworkach, ani jednego z nich nie wyłączając rozeszła się jednostajnie brzmiąca depesza: „Snopiński opuścił okolicę, uciekł od ścigających go wierzycieli i zostawił żonę w okropnem położeniu.“ Obok téj głównéj treści depeszy rozesłanéj wkoło parafjalnemi telegrafami, stało jeszcze mnóstwo komentarzy i amplifikacyi ogłaszanego faktu. Łączyły się doń wiadomości, że młoda pani Snopińska od śmierci dziecka wciąż podupada na zdrowiu, że w domu u niéj niedostatek graniczący z nędzą, że po odjeździe Snopińskiego kredytorowie trzymają ją w zupełnem oblężeniu, że cała służba Niemenkowska odprawiła się nie mając nadziei otrzymania umówionéj płacy, a w całym domu pozostała jedna tylko służąca, że eks-ekonom Snopińskiego Pawełek, sprezentował przed urzędem dowody na znaczną swą należność i prowadzi Niemenkę pod sekwestr, a tymczasem nagląda majątku niby swego już dobra i mnóstwo przykrości wyrządza pani Snopińskiéj.

Wieści te rozchodząc się po okolicy wzbudzały ogólną litość i współczucie dla opuszczonéj kobiety, ale zarazem i rozciekawiały powszechnie tembardziéj, że pani Snopińska oddawna wiodła życie bardzo ustronne a od śmierci dziecka, nikt prawie nigdzie ją nie widywał. To też przez parę tygodni Wincunia była wyłącznym przedmiotem wszystkich rozmów w sąsiedztwach, już nawet parę stacyi pocztowych w postaci sąsiadek i kilka serc szlachetnych ze współczujących istotnie, wybierało się do Niemenki z objawami sympatyi, gdy pewnéj Niedzieli przed nabożeństwem, zgromadzona w X. na cmentarzu kościelnym publiczność, ujrzała zmierzającą ku kościołowi parokonną Niemenkowską bryczkę. W całem zebraniu zadrgały telegraficzne nici spojrzeń, gestów, westchnień, szeptano, oglądano się, kiwano głowami litościwie. Tymczasem Wincunia wysiadłszy z bryczki powoli zbliżała się do bramy cmentarnéj. Byłaż by to ta sama kobieta która przed pięcią laty przyjeżdżała w to miejsce dzieweczką hożą i świeżą jak tylko co rozkwitły kwiatek, w różowéj sukience, z czystemi naiwnemi oczami w których na tle szafirowem migotały złote iskry młodości nadziei, wiary w przyszłość i ludzi. Teraz w ciemnéj wełnianéj sukni, w kapeluszu orzuconym czarną woalką, szła ona powoli z tą chwiejnością kroku i wątłością postaci, która oznajmia wielkie fizyczne i moralne zmęczenie.

Zdawało się że oczy jéj powiększyły się i rozszerzyły, a szklił się w nich suchy blask wzmożony ciemnawą bladością zapadłych a przejrzystych policzków, usta jéj układały się w wyraz jaki cechuje zwykle osoby cierpiące długo a tajemnie i tylko światłe warkocze wysuwające się z pod kapelusza i w bogatych splotach opływające szyję, przypominały dawną srebrnowłosą Wincunię.

Zbliżyła się do furtki cmentarza i poniosła spojrzenie, podniosła je na to miejsce na którem niegdyś zwykł był stawać Aleksander, na którem niegdyś podjął on dla niéj ową upadłą z jéj rąk książkę..... Ale teraz zamiast wzroku tych błękitnych oczów młodzieńca, które tak czarowały ją wówczas, spotkała się ona ze wzrokiem wymierzonym do niéj kilkunastu osób grupami stojących na cmentarzu. Szybko zarzuciła na twarz woalkę, silny rumieniec zaognił jéj policzki. Znajomi ukłonili się jéj wszyscy, ona oddała ukłon i przyśpieszywszy kroku zniknęła w głębi kościoła.

Stojący na cmentarzu ludzie milczeli długo, zdjęci poszanowaniem na widok téj złamanéj i zwiędłéj wcześnie młodości. W oczach kilku kobiet błysnęły łzy, na twarzach mężczyzn ukazał się wyraz żalu, jakiś podstarzały dzierżawca z łoskotem nos sobie utarł, aby czerwoną chustką zakryć silne wzruszenie od którego zwilgotniały siwe jego rzęsy, stacje nawet telegraficzne umilkły i zamyślone patrzyły tylko w siebie, bo widok cudzéj niedoli przypomniał im może nie jedno własne przebyte cierpienie...

— Ot, Mospanie! ozwał się pierwszy stary oryginał pan Tomasz, co to życie z ludźmi wyrabia!

— Powiedz pan raczéj co to niegodziwość ludzka wyrabia! zawołał z oburzeniem podżyły jakiś jegomość,

— Oj, jabym tego młokosa Snopińskiego, mówił inny, po staroświecku jako szlachcica na kobiercu położył i....

Tu uczynił gest wyrazisty.

Pod kilku na uboczu rosnącemi drzewami stał Topolski obok doktora z X. Po przejściu przez cmentarz Wincuni obaj długo milczeli.

— Jak ona okropnie wygląda! rzekł w końcu Bolesław z cicha i jakby do siebie.

— Suchoty! zwolna odpowiedział doktór.

— Co? zawołał Topolski nagle zwracając się do lekarza.

— Mówię że pani Snopińska jest w suchotach. Teraz są to tylko początki choroby z których mogłaby zostać wyleczoną przy wielkich staraniach i zupełnym spokoju moralnym, ale naturalnie w smutnéj pozycyi w jakiéj zostaje jest to niepodobnem.

Bolesław pochwycił ramię doktora.

— Słuchaj pan, rzekł z gorączkowym pośpiechem, czy nie mylisz się? czy wiesz z pewnością że to co mówisz jest prawdą?

Lekarz ze współczuciem spojrzał na niego.

— Niestety! odpowiedział, objawy chorób piersiowych należą do najwyraźniejszych i najmniéj mylić mogą oko lekarza. Pani Snopińska z natury posiadała organizm skłonny do piersiowych cierpień, słaba, wrażliwa i uczuciowa więcéj jak ktokolwiek potrzebowała życia pogodnego i wolnego od burz wstrząsających fizycznie i moralnie.

Stało się inaczéj, wszystkie łzy zawodu, rozczarowania i osamotnienia które przez dumę i godność kobiecą taić musiała, zaskrzepły w jéj piersi i stworzyły zaród choroby. Wszystko co teraz przebywać musi do reszty rozstraja jéj organizm. Wszakże... śmiem sądzić, że gdyby odtąd uchronioną była od wszelkich smutków i niepokojów, może....

Ze szczytu dzwonicy rozległy się dzwony wołające na nabożeństwo, publiczność wpłynęła powoli do kościoła.

W ostatniéj ławce kościelnéj, przy samych prawie drzwiach babińca siedziała Wincunia. Książka do nabożeństwa leżała przed nią nieotwierana wcale, a oczy jéj szklisto błyszczące z za czarnéj woalki utkwione były w obraz bocznego ołtarza, przedstawiający bolesną Marję z dziecięciem na ręku. Bolesław zaraz u wnijścia poznał ją po światłych splotach warkoczy i stanął przy niéj jak gdyby nie miał siły postąpić daléj. Oczy Wincuni wiedzione nieprzepartą magnetyczną siłą oderwały się od świętego obrazu i podniosły na twarz Bolesława. Spojrzenia ich spotkały się, zamgliły niewypowiedzianą boleścią i wnet odwróciły się od siebie.

W téj chwili pod sklepieniami kościoła rozbrzmiała muzyka organów. Bolesław powiódł ręką po czole i zwrócił się do stojącego obok doktora i spytał go po cichu.

— Powiedz mi pan dla czego to grają „requiem.“ Zapytany wielkiemi oczami nań spojrzał.

— Wyjdź pan ztąd, rzekł po chwili z niepokojem wpatrując się w zmienioną twarz Topolskiego; muzyka organów nie zdrową jest w téj chwili dla ciebie. To nie organy ale moje słowa przedchwilne śpiewają ci nad głową pieśni żałobne.

Po chwili Topolski wychodził z kościoła a miał twarz tak bladą i dziwną, że kto nań spojrzał oglądał się i wzruszał ramionami.

Kiedy publiczność rozjeżdżała się po nabożeństwie do domów, rozmowa toczyła się już nie o Wincuni, ale o Topolskim. Dziwiono się powszechnie temu, że wyglądał w kościele tak jakby go jakieś wielkie spotkało nieszczęście, że w ogóle od pewnego czasu zmizerniał bardzo i widocznie walczył z sobą aby w towarzystwie nie okazać czegoś co mu znać mocno dolegała. Dziwiono się temu wszystkiemu tembardziéj i tem ogólniéj, że właśnie od lat kilku Topolskiemu dziwnie się szczęściło. Zamożność jego zwiększała się coraz i zarazem zwiększało znaczenie w okolicy. Hrabina powierzyła mu przed dwoma laty ogólny zarząd znacznéj części swoich majątków a lubo niemałą przez to podejmował on pracę, dawała mu ona za to znaczne korzyści! Wziął też znaczny majątek w dzierżawę i wiedziano że dzięki zwykłéj sobie rządności i postępowemu gospodarowaniu, wybornie wychodził na tem przedsięwzięciu. Oprócz tego pierwszym on był zawsze w radzie i wykonaniu wszystkiego co się tyczyło ogólnych spraw okolicy i za jego to głównie wpływem lub staraniem drogi komunikacyjne około X. doprowadzone zostały do tak wybornego stanu, że wzbudzały podziw w podróżnych z innych okolic. Szpital w miasteczku wzorowo się utrzymywał, ze składkowéj bibljoteki korzystała miejscowa publiczność, w dobrach Hrabiny powstały dwie wielkie fabryki przyczyniając się niezmiernie do dobrobytu całego powiatu. Te wszystkie starania i wpływy, wzrost majątkowy, prawość i serdeczność w obejściu się wyrobiły dla Topolskiego ogólną sympatją i poważanie. Wszystko mu się wiodło, wszystko mu sprzyjało, a jednak nie wyglądał na szczęśliwego.

Dla czego był coraz bledszy i w oczach miał coraz głębszy smutek lubo go kryć usiłował? Czemu nie szukał wesołych towarzystw, ani myślał o żenieniu się, do żadnéj kobiety nie zbliżał się inaczéj jak z zimną i poważną grzecznością? Oto były pytania które zadawała sobie cała parafja, a stacje pocztowe i telegraficzne nadstawiały pilnie ucha, słuchając ażali chmury płynące w górze albo wietrzyk wieczorny albo roje owadów i grające w promieniach słońce, nie przyniosą im na nie jakiéj odpowiedzi. Ale chmury, wietrzyk i owady milczały o Topolskim i milczeć o nim musiały nawet poczty i telegrafy parafjalne, bo życie człowieka tego było tak widoczne i czyste, tak jasnym i otwartym każdy czyn jego, że znikąd, znikąd nie było treści do choćby najkrótszéj depeszy. Tam na dnie jego duszy kryła się wielka boleść, rana niezgojona ni wolą, ni pracą, ni czasem, ale takie rany i takie boleści nie każdy dojrzeć jak nie każdy czuć potrafi. O takich ranach i boleściach poczty i telegrafy parafjalne najmniejszego nie mają pojęcia. One co z muchy gotowe są zawsze stworzyć olbrzyma, olbrzymów mijają bez zwrócenia na nich uwagi, bo zrozumieć ich wielkości nie są w stanie.

Topolski po powrocie z kościoła pisał długo list jakiś, potem zawołał do siebie starego Krzysztofa.

— Krzysztofie, rzekł, oczekuje cię daleka podróż.

— Jeżeli pan tego potrzebujesz pojadę wszędzie, choćby najdaléj.

Bolesław oddał staremu słudze list napisany przed chwilą i rzekł.

— Jutro rano Krzysztofie każesz założyć cztery konie do najwygodniejszej jaka jest u mnie bryczki i pojedziesz z tym listem do pani Niemeńskiéj. Mieszka ona w powiecie N. o dwadzieścia kilka mil ztąd.

Trzeba abyś przywiózł ją do Niemenki koniecznie i bezwłocznie. Ty mój poczciwy wiesz o wszystkiem i dopowiedz jéj ustnie całą smutną historję jéj siostrzenicy...

Rzekłszy to szybko odwrócił się od Krzysztofa, aby ukryć wzruszenie. Stary pokręcił siwego wąsa.

— Daję panu słowo, rzekł, że pani Niemeńska przyjedzie ze mną do Niemenki. W kilka dni potem na dziedzińcu Topolińskim turkotały koła i do pokoju wszedł Krzysztof cały jeszcze pokryty kurzawą podróży. Bolesław wybiegł śpiesznie naprzeciw niemu:

— Cóż? zapytał z niepokojem, czy przyjechała?

— Przyjechała, odpowiedział sługa.

Twarz Bolesława wypogodziła się nieco, nazajutrz jednak dręczyła go widoczna niespokojność. Co moment wychodził z domu i uszedłszy za bramę kilkadziesiąt kroków powracał, przechadzał się niespokojnym krokiem po mieszkaniu, chwilami bladł bardzo, jakby na myśl o czemś cała krew jego zbiegała się do serca.

Dzień był kwietniowy ciepły ale mglisty, drobny deszczyk wiosenny skrapiał młodziuchną i niską jeszcze trawę, to znowu wypogadzało się niebo i blade promyki słońca oświecały perlące się na gałęziach topoli krople deszczu. Ale nad wieczór chmury zaciągnęły całe sklepienie, deszcz począł padać coraz rzęsistszy, na świecie zrobiło się szaro i posępnie. Pomimo tego Bolesław stał u okna swego mieskania ubrany jak do wyjścia, w ręku trzymał czapkę a przed gankiem stała bryczka z założonemi końmi. Dziwne myśli roiły się mu znać po głowie; patrzył na chmury ciągnące pod niebem i był bardzo smutny. Nagle, zamigotało coś w zmroku pod oknami Bolesław mógł rozpoznać że była to postać kobieca okryta szarą salopką, z wielką chustą narzuczoną na głowę. W parę sekund potem otworzyły się drzwi, do pokoju weszoła kobieta z pechyloną postacią i zdjęła z głowy okrycie. Bolesław spojrzał, wykrzyk zdziwienia wyrwał się z ust jego rzucił się do wchodzącéj. Była to pani Niemeńska. Przemokła od deszczu, drżąca cała, zatrzymała się u drzwi jakby nie śmiała daléj postąpić.

— Pani! zawołał Bolesław, pani tutaj! w taką porę! pieszo!

Uścisnął ręce które stara kobieta podała mu z cichym płaczem, troskliwie zdjąwszy z niéj zmokniętą salopkę poprowadził przed kominek, na którym tlił się żar ciepły i posadził w wygodnym fotelu. Parę minut milczeli oboje, pani Niemeńska nie była w stanie słowa przemówić, Bolesław patrzył na nią z przerażeniem nieledwie.

— Jakże pani znalazłaś swoją synowicę? przerwał nakoniec milczenie.

Na te słowa cichy płacz pani Niemeńskiéj zamienił się w głośne łkanie.

— O panie mój! zawołała, tegoż to ja doczekałam się na moje stare lata! Takiż to los spotkał to dziecko, które hodowałam i kochałam jak moje własne! Nie wiedziałam o niczem co się tu działo, Wincunia pisała do mnie zawsze takie spokojne, wesołe listy, nie chciała mię widać martwić biedaczka, a przytem takie to dumne że nigdy jednego słowa skargi przed nikim nie wypowie. List twój panie Bolesławie jak piorun spadł na moją głowę, przyjeżdżam i myślę że moja Wincunia jak dawniéj wybiegnie na moje spotak nie zdrowa i hoża, wchodzę i spostrzegam tylko cień jéj...

Gdybym ją gdzieindziéj spotkała nie poznałabym ją wcale — a przecież —któżby powiedział że ta kobieta ma dopiero 23 lata? Patrząc na nią, zdaje się że już jéj do grobu blizko...

I stara ciotka głośnym zaniosła się łaczem.

— Pani, ozwał się po chwili Bolesław, tu nietylko płakać i boleć ale przedewszystkiem zapobiegać złemu należy. Pani Wincenta zagrożona jest śmiertelną chorobą, jeden spokój może ją zbawić a spokój ten trzeba stworzyć w koło niéj. Dla tego wezwałem panią tutaj abyś znów była dla niéj matką, aby miała ona w tobie serce ciągle nad nią czuwające, aby mogła przytulić się do czyjejś kochającéj piersi i ulżyć swemu żalowi widokiem czyjegoś do niéj przywiązania... Przytem trzeba usunąć ją od trosk codziennych, oddalić od niéj przykrości i upokorzenia wynikłe ze stanu majątkowego w jakim ją zostawił Snopiński...

— Panie, przerwała p. Niemeńska, wszystko co posiadam oddam jéj, fundusik mój niewielki jest wprawdzie ale może choć w części wystarczy na zaspokojenie potrzeb jéj i żądań kredytorów, ale panie...

Tu złożyła ręce błagalnie i nieśmiało dodała.

— Jej czego innego jeszcze potrzeba...

Bolesław pytająco na nią patrzał. Pani Niemeńska powstała nagle, pochwyciła rękę jego i poniosła ją do ust.

— Pani! krzyknął Topolski, co robisz?

— Bywaj pan u nas! zawołała zrozpaczona kobieta, bądź dla Wincuni przyjacielem i bratem jak dawniéj nim byłeś, przyjaźń twoja, rozumne twe towarzystwo łatwiéj jak wszystko przywrócą jéj spokój i zdrowie!... Wiem żeśmy cię obraziły, żeśmy cię po tysiącznych dobrodziejstwach twoich odsunęły lekkomyślnie, ale w tem wszystkiem moja była wina, moja nie jéj i siwe włosy moje powstają mi na głowie gdy myślę że mogłam uchylić od niéj ten kielich goryczy a nie uczyniłam tego że sama prawie popchnęłam ją ku przepaści... Ona była dzieckiem ale ja stara nic nie przewidziałam, nie przeczułam człowieka który miał ją zgubić i sama, sama zgubiłam ją... W tem wszystkiem winnam ja, a ona jest tylko ofiarą złéj doli i mojéj głupoty.... Ty masz złote serce... bądź dla niéj przyjacielem w nieszczęściu... przebacz jéj....

Pani Niemeńska z błaganiem wyciągała ręce do Bolesława, siwe włosy jéj wysuwały się z pod czepka i opływały twarz zalaną łzami i oświetloną czerwonym odblaskiem kominkowego żaru.

— Przebaczyć! ozwał się zwolna Bolesław z dziwny uśmiech przesunął się mu po ustach alboż pani sądzis, że w sercu mojem był kiedykolwiek choć cień urazy do niéj? Jakież prawo miałem rozkazywać jéj sercu albo zakreślać przed nią drogę życia. Jakież miałem prawo uczuwać do niéj niechęć za to, że na tę drogę wolała wejść z kim innym niż ze mną? Nie; jakim był żal mój po niéj, jaką tęsknota za nią wie tylko Bóg, goryczy w uczuciach moich urazy nie było ani kropli. Cierpiałem wtedy gdym ją utracił, ale miljon razy więcéj gdym ją nieszczęśliwą ujrzał. I nie było dnia żadnego w którym bym nie rozmyślał nad tem w jaki sposób ustrzedz ją od okropnéj przyszłości, nie było żadnéj nocy w któréj by zmora jéj nieszczęścia nie nawiedzała mię i nie budziła mię ze snu. Czyniłem dla niéj wszystko co mogłem, ale mogłem nie wiele a i o tem ona nigdy nie powinna wiedzieć... Teraz gdy pozycja jéj określiła się o tyle, że została całkiem opuszczoną przez męża będę w możności czynić więcéj... Ale tę możność dało mi dopiero przybycie pani, póki pani Wincenta samotna była w Niemence, nie chciałem tam bywać, aby nie sprowadzić na nią mnóstwa obmów, bo chociaż czuję się sam i ją uważam za wyższą nad ludzkie niesprawiedliwe podejrzenia, jednak niechciałem do wszystkich jéj cierpień, dolewać i tę jeszcze kroplę goryczy. Szanowałem dotąd dobrą jéj sławę, ale teraz kiedy pani jesteś w Niemenre, pani Wincenta odzyska we mnie przyjaciela lat dawnych, który codziennie przyjdzie do niéj z twarzą pogodną, dłonią otwartą, z radą i pomocą przyjazną.

Pani Niemeńska stała przed nim ze złożonemi jak do modlitwy rękami.

— Jakiś ty dobry! jakiś ty szlachetny! mówiła drżącemi ustami.

— Posłuchaj, rzekła ochłonąwszy nieco ze wzruszenia, ona taka słaba i smutna, a cicha i łagodna jak dziecię. Nie skarży się i nie płacze, ale w oczach jéj jest coś co mi serce przeszywa. Dziś zrana mówiła ze mną o tobie, niewiem czemu ale zdało mi się że pragnie cię widzieć choć tego nie powiedziała.

To też kiedy przed zmrokiem zobaczyłam ją leżącą z zamkniętemi oczami, wymknęłam się pieszo z domu, aby wyjścia mego nie spostrzegła i przez gaj przyszłam cię prosić, abyś zajrzał czasem do nieszczęśliwéj, a ty już sam o tem myślałeś niech cię za to Bóg i Najśw. Panna błogosławią.

— Od rana, rzekł Bolesław, wybierałem się do Niemenki, ale nie dziw że nie mogłem prędko zdobyć się na moc dostateczną...

Umilkł na chwilę potem znów mówił zniżonym nieco głosem.

— Pani Wincenta nigdy mię nie kochała, a raczéj kochała mię niegdyś jak przyjaciela, takim więc ujrzy mię i teraz i jako taki mogę przynieść jéj pociechę lub pomoc. Ale ze mną rzecz inna...

Zatrzymał się znowu i dokończył jeszcze ciszéj.

— Ja... kocham ją dziś tak jak kochałem owego dnia, gdyśmy zamieniali z sobą zaręczynowe pierścionki...

— Wielki Boże! wyszeptała p. Niemeńska, kochasz ją dotąd jeszcze! kochasz ją jak dawniéj!

Bolesław uśmiechnął się właściwym sobie smutnym uśmiechem i długo, długo trzymał oczy nieruchomie utkwione w błękitne płomyki strzelające z pomiędzy żaru, jak gdyby pytał ich o rozwiązanie téj dziwnéj zagadki jego serca, któréj inni pojąć nie mogli. Ale błękitne płomyki nic znać nie odpowiadały na pytania smutnéj jego myśli, bo rzekł po chwili cicho i jakby do siebie.

— Albož ja wiem zkąd się bierze ta siła i trwałość przywiązania mego do niéj? Dla czego *ona* — ona właśnie stanęła na drodze mego życia, jako jedyna miłość, która nie przestała być miłością nawet po utracie nadziei? Są znać serca w które gdy raz zapadnie uczucie jakie, to już go zeń nic wydrzeć nie zdoła...

Gdyby pani Niemeńska posiadała więcéj filozofji życia i bogatszy dar wymowy, odpowiedziałaby na tą głośno wyrażoną myśl Bolesława, że serca takie śród ludzi są cenną rzadkością, tak rzadko rozsianą po ziemi, jak rzadkiemi są owe o tęczowych blaskach djamenty drogie, w poszukiwaniu których biedni górnicy życie całe pędzą: jak rzadkiemi są owe perły mlecznéj bieli po które odważni nurkowie zstępują na dno morskich topieli. Kto znajdzie djament taki, taką perłę i zgubi ją, niech płacze, bo mogą przeminąć lata długie i cały żywot człowieczy przeminąć może, nim w innéj piersi podobna odnajdzie się kosztowność.

Pani Niemeńska nie odpowiedziała tak na wypowiedzianą myśl Bolesława, albowiem była to kobieta o prostem sercu i słowie, patrzyła tylko nań z cichem uwielbieniem i wielkim żalem.

Bolesław otrząsnął się z zamyślenia, ujął rękę pani Niemeńskiéj i rzekł:

— Nie mów pani o tem wszystkiem pani Wincencie dla jéj własnego dobra. Wiadomość ta zniepokoiłaby ją, utrudniłaby nasz stosunek. Niech myśli że to co zachodziło między nami niegdyś minęło na wieki, niech zapomni o tem że kochałem ją kiedyś jak kochanek, a niech widzi we mnie tylko przyjaciela. Polegam na pani rozsądku i szlachetności, że nie powiesz jéj tego o czem wiedzieć nie powinna. A teraz jedźmy do niéj, konie moje stoją oddawna założone.

X.

„FALO, NIEWIERNA FALO A TAK WIERNA.“

I znowu w Niemence było lato zielone, słoneczne, ciepłe. Jednocześnie z przyjazdem p. Niemeńskiéj i nowem zbliżeniem się Bolesława do dwóch samotnych kobiet, ład, spokój i dostatek wrócił do dworku. Kredytorowie częścią zostali zaspokojeni zupełnie, — częścią na jakiś czas zagodzeni, sam nawet butny eks-ekonom i eks-faworyt Snopińskiego Pawełek, po całogodzinnéj rozmowie z Bolesławem w Topolinie wyszedł mocno zmięszany, zawstydzony i cofnął z sądu prozbę swą o egzekwowanie należnéj mu sumy. Powiadano że Topolski dowiódł mu kradzież i spółkę z lichwiarzami, a rzeczywistą należność opłacił. Pawełek jednak nie mówił o tem przed nikim i wydalił się nawet całkiem z okolicy, przyjmując służbę gdzieś w odległéj stronie.

Od Aleksandra Wincunia nie otrzymała żadnego listu, wyraźnie postanowił zerwać z nią na zawsze. Zrazu tylko p. Jerzy pisywał do synowéj długie i niezmiernie czułe listy, przyrzekł że wkrótce syna do domu wyprawi, upewniał ją o współczuciu swem i lepszéj przyszłości, a w słowach jego był żal głęboki ojcowskiego serca, bolejącego nad błędami syna i losem związanéj z nią kobiety.

Ale po dwóch miesiącach i te odezwy stały się coraz rzadsze, w końcu całkiem ustały i wieść o młodym Snopińskim zaginęła. Tylko raz Szloma opowiadał Topolskiemu, że do oberży jego zajeżdżał jakiś zdawna znajomy mu podróżny pan, przybywający z okolic w których mieszkali Snopińscy i mówił mu o Aleksandrze dziwne rzeczy, jakoby poróżnił się z ojcem i wyjechał z jego domu, a osiadł przy jakimś bogatym paniczu u którego młodzież hulała wciąż i grała w karty, jakoby stary Snopiński począł chorzeć ze zgryzoty, jakoby Aleksander udawał w okolicy że jest nie żonaty i stawiał się przed pannami w roli konkurenta, posiadającego gdzieś daleko znaczne dobra, jakoby nawet dobrami temi uwodził panicza u którego mieszkał, pożyczał od niego pieniądze, grał szalenie w karty, a i upijać się coraz częściéj zaczynał, i. t. d. O tych wszystkich szczegółach dowiedział się Topolski od Szlomy, ale nie powtórzył z nich ani jednego w Niemence.

Wincunia ani przed ciotką, ani przed Bolesławem nie wspomniała nigdy imienia Aleksandra, nie żalila się nigdy, nie płakała, owszem spokojna zawsze jak cień przesuwała się po cichym dworku, z uśmiechem na bladych ustach. Czy cierpiała i jak cierpiała niepodobna było odgadnąć tak była zawsze jednostajną, łagodną a chwilami nawet wesołą, tą smutną wesołością jaką miewają osoby, które pogodziły się ze swym bólem, wiedzą że dłużéj niż on żyć nie będą.

Zycie jéj gasło stopniowo a widocznie, była coraz słabsza a więcéj lubiła słońce i światło dzienne jak gdyby niemi dosyć nacieszyć się chciała, Całe dnie przesiadywała w ogrodzie lub na dziedzińcu pod lipą, a gdy nadchodził wieczór smutniała, kaszlała mocniéj i mówiła z tęsknym uśmiechem.

— O, jakże pragnę jutra!

— Dla czego? pytała ciotka.

Żeby znowu słońce zobaczyć, odpowiadała. A zaledwie świt rozproszył nocne ciemności wstawała, wychodziła przed dom i z roskoszą przypatrywała się stopniowemu dnia wschodowi. Pani Niemeńskiéj zdawało się że po całych nocach nie zasypiała, zato śród dnia obejmował ją niekiedy sen osłabienia, głowa jéj opadła na poduszkę kanapy i zamykały się oczy. Wtedy pani Niemeńska siadywała obok niéj z pończoszką w ręku i oczy jéj zaszłe łzami spoczywały na zmęczonéj cierpieniem twarzy synowicy.

Raz usta Wincuni poruszyły się przez sen: p. Niemeńska pochyliła się ku niéj sądziła że wspomni o mężu, ale Wincunia wymowiła zcicha imię Bolesława i bolesne westchnienie wstrząsnęło jéj ciałem.

P. Niemeńska załamała ręce.

— Boże wielki! szepnęła, dziwne są wyroki Twoje! miałażby ona pokochać go teraz!.., Topolski bywał w Niemence często — tak często, jak tylko mu pozwalały liczne a obowiązkowe już teraz jego zajęcia się. Gdy kilka dni nie przychodził, Wincunia miała się znacznie gorzéj: gdy przybywał ożywiała się, weselała, i chwilami wydawała się zdrową, ale gdy oddalił się wpadała w większe jeszcze niż wprzódy osłabienie, Bolesław z taktem i ostrożnością wielkiego serca, unikał wszystkiego coby mogło jéj przypomnieć dawny ich do siebie stosunek. Przychodził do Niemenki zawsze pogodny, niemal wesoły, i z powierzchowności jego niktby odgadnąć w nim nie mógł najmniejszego wewnętrznego cierpienia. Raz tylko, gdy po widzeniu się z doktorem w X. i długiéj z nim rozmowie przyjechał do Niemenki witając go rzekła z niepokojem.

— Mój Boże! co panu jest! takiś pan dziś blady i zmieniony?

Bolesław uśmiechnął się swobodnie i odparł.

— Miałem w tych dniach mnóstwo kłopotliwego zajęcia, to mię trochę zmęczyło...

Dnia tego doktór powiedział mu, że stan Wincuni pogarsza się znacznie i mało zostawia nadziei wyzdrowienia.

— Słuchaj pan, mówił lekarz, nadaremnie byśmy się łudzili, ona nie może być zdrową póki nie posiądzie zupełnego moralnego spokoju...

— Ha, rzekł Bolesław, wszystko co można było uczynić dla niéj w obecnem jéj położeniu, zostało uczynionem. Czy sądzisz pan że tęskni za tym człowiekiem który ją opuścił?

— Nie, odpowiedział doktór, to być nie może, taka kobieta jak ona nie może kochać czowieka którym musi pogardzać; — przeciwnie, sądzę że obecność jego musiała oddawna już być bolesną... Niemniéj jednak jest w niéj jakiś żal głęboki a tajony, który wciąż rozognia i rozrania pierś jéj.

— Może to żal po stracie dziecka? spytał Topolski.

— I to nie utrata córki wstrząsnęła nią silnie: a i teraz zapewne bolesnem echem odzywa się w jéj sercu, ale takie rany muszą się goić — leży to w naturze ludzkiéj...

Zresztą, wiesz pan o tem, że my doktorowie z powołania naszego musimy być nieco spowiednikami duszy i lubo nie mamy prawa pytać pacjentów naszych o tajniki ich serc, niemniéj jednak uczymy się przenikać je własnem okiem... Otóż zdaje mi się, iż odgaduję w pani Snopińskiéj oprócz żalu po stracie dziecka, oprócz naturalnéj goryczy która wypływa z zawodu jakiego doświadczyła inny jeszcze jakiś żal, inną boleść dziwnie przejmującą, a przemienioną już w tę cichą, zrezygnowaną rozpacz, która nie żali się i nie walczy ale jak gadzina zjadliwa wpija się w pierś ludzką i wysysa z pod serca siły żywotne, aż cały organizm przyprowadzi do nieuchronnego upadku.

Bolesław ze skupioną uwagą słuchał słów doktora.

— Cóż bym dał za to, rzekł po chwili jakby do siebie, gdybym mógł odgadnąć źródło téj boleści która ją zabija.....

— Tego pan nie dokażesz, rzekł z żalem doktór — pani Snopińska ma dziwnie zamknięty w sobie i skryty charakter, który znać wyrobił się w niéj w skutek doznanych smutków...

— O tak! rzekł Topolski, dawniéj była przezroczystą jak kryształ.

Doktór mówił dalej.

Zdjęty niezmiernem współczuciem i prawdziwym szacunkiem dla niéj, probowałem nieraz głębiéj zajrzeć w jéj duszę. Ale podobną jest ona do tego kwiatu, który przy dotknięciu ludzkiéj ręki zwija i zamyka swój kielich. Raz pan byłeś wówczas nie obecnym, siedziałem przy niéj na ganku. Milczała, jak to bywa najczęściéj i zamyślona bardzo, wiodła oczami za białym obłokiem, który zwolna posuwał się pod niebem. We wzroku jéj był smutek a przytem uśmiechała się, smutek ten i ten uśmiech tworzył tak dziwny wyraz, iż przypatrywałem się jéj myśląc, że mam przed sobą szczególne psychologiczne zjawisko. Ale zarazem sądziłem że była to chwila, w któréj coś powiedzieć mogła. Uważałem siebie tym razem za kapłana lekarskiéj sztuki i spytałem ją nadając słowom moim ton żartobliwy; „Co tam pani widzisz na tym obłoku że go tak ścigasz oczami?“ „Widzę, odpowiedziała nie zmieniając kierunku wejrzenia, widzę tam to co od wielu dni, miesięcy, lat prawie stoi wciąż przed memi oczami — w światłości i w zmroku — płynie przedemną na obłokach — wiesza się na zieleni drzew — świeci, w ciemnościach nocy“. Mówiła to powoli i z cicha bardziéj do siebie niż do mnie. Pomimo całéj zimnéj krwi do któréj uspasabia mię powołanie moje, byłem wzruszonym. „I cóż jest to, co panią tak prześladuje? “spytałem znowu nawpół żartem. , To moje, moje straszne....“ zaczęła mówić i nie dokończyła, drgnęła jakby ze snu zbudzona i spojrzawszy na mnie usiłowała zaśmiać się: „O panie! zawołała z tą wesołością, która w niéj smutniejszą jest od smutku; ja coś niedorzecznego mówiłam — nie słuchaj mnie pan gdy tak mówię — to jakby przez sen — ja często śnię na jawie! “

I z gorączkowym pośpiechem zaczęła mówić o czemś innem. Cóż mogłem wysnuć z tych kilku słów urywanych które wyrzekła? To tylko, że czegoś żałuje,

że za czemś tęskni, że ciągle ma przed oczami jakiś obraz, do którego przywiązała się jéj dusza i z którym odlatuje ona od niéj.... aż na zawsze odleci...

Bolesław zamyślił się i długo milczał.

— Zdaje mi się rzekł, że wszystko o czem pan mi mówiłeś, jest koniecznym wypływem położenia pani Wincenty, i nie widzę w tém nic innego, jak poczucie złamanego życia. Zresztą zdaje mi się, że pan mylisz się sądząc iż miłość jéj dla męża całkiem zniknęła. Wprawdzie nie może nie widzieć że nie wart jéj szacunku; ale bywają dziwne upory serc, które w uczuciach swych raz powziętych nie dają się zwyciężyć.... jabym sądził, że ona boleje nad jego upadkiem a kto wie? może i nadtem że go straciła...

— Prawda, odrzekł doktór, że serca a szczególniéj serca kobiece posiadają nieraz dziwne tajemnice — samo już powzięcie uczucia takiéj kobiety jak ona dla człowieka takiego jak Snopiński, osobliwym było psychicznym pojawem — jednak zdaje mi się, że dziś wpominać go musi w duchu z pogardą a co najmniéj z obojętnością, a żalu jéj inna być musi przyczyna....

Na tem skończyła się rozmowa Topolskiego z doktorem, w kilka dni po niéj Bolesław pisał do p. Andrzeja:

„Dwa miesiące nie pisałem do Ciebie, drogi przyjalu; nie miéj mi tego za złe, bo nie miałem siły, dziś nawet niewiem czy w logiczny ład zdołam me myśli ułożyć, bo mącą się one w méj głowie jak wody morskiego dna, których burz nikt nie widzi.... Ona umiera... chodzi jeszcze, rusza się, mówi i uśmiecha się nawet, ale nie jest to już istota która idzie drogą życia — jest to płomyk gasnący — cień postępujący zwolna po ścieżce, do mogiły.

„Czy pamiętasz ją, jaką była wtedy gdym raz pierwszy prowadził Cię do niéj, stojącą na kamiennym piedestale, uwieńczoną kwiatami, karmiącą gołębie z fartuszka, młodziuchną i lekką jak ptaszyna?

"A teraz przypomnij sobie dźwięk muzycznego,akordu który brzmiąc przez chwilę pełnią tonów rozpływa się stopniowo w powietrzu; traci po jednéj nócie i zwolna ulatuje w nieskończoność... taką ona jest teraz. Porównaj i zasłoń oczy — bo to taki widok, że gdy długo nań popatrzysz będziesz bardzo smutny.

"A ja patrzę na nią codzień niemal i co dzień czuję jak mi coś w piersi jęczy i rwie się i przestaję być sobą samym, rozum mnie odbiega i wola — nie upadam, ale łamię się..

„Przybywaj mi w pomoc przyjacielu! Ty tam ze szczytów Karpat o wieczornéj porze przypatrujesz się jak wspaniałe słońce płynie ku zachodowi i zciąga z ziemi promienia swoje, aby je na inne przenieść widnokręgi, przybywaj, i tu zobaczysz piękny twór Boży, co się ku zachodowi swemu chyli i wnet bladą swą twarzą do innych przeniesie światów. A rankami śród poetycznych dolin karpackich słuchasz odgłosów trąbki górala, żegnającego na dzień cały szczyt, z którego zstępuje; przybywaj, tu usłyszysz dźwięk téj Archanielskiéj trąby, która woła do gasnącéj istoty aby w poranku życia ziemię swą żegnała.

„Przybywaj z radą, bo może jest jeszcze rada.

„W sercu jéj leży dziwna jakaś tajemnica, która wygryza z niéj życie a któréj odgadnąć ja nie mogę, może i nie umiem.

„Są w niéj rzeczy, które mię dziwią i myśl ma wtrącają w haos przypuszczeń. A jednak gdybym wiedział, może.....

„Przed kilku dniami siedziałem z nią wieczorem przy lampie i czytałem głośno jakiś ustęp z poezji Słowackiego wysnuty „w Szwajcarji", Czytając nie mogłem wstrzymać się od myśli, że historja którą wieszcz pisał łzami, dziwnie była do mojéj podobną. Wszakże i ja kiedyś „spotkałem ją samą. Pod jasną tęczy rożno-farbnéj bramą" a potem i jam miał chwilę w któréj „Z ust zamkniętych skromnie, najpierwszy uśmiech jéj przyleciał do mnie.

Przyleciał szybko i wrócił z podróży, do swego gniazda do pereł i róży" bo wszak i ona kiedyś była „jak białe łabędzie, Była jezior błękitnego panią, miała powozy z delfinów, z gołębi. I kryształowe pałace na głębi i księżycowe korony w noc ciemną, I mogła była wszystko robić ze mną". Autor ten w poezji swéj miewa takie tony, że gdy je człowiek wygłasza razem z dźwiękiem głosu musi wyjść na jaw głębią duszy jego, choćby ją z całéj mocy utaić pragnął. Wiem teraz z przekonania, że mężczyzna który miłość swą chce ukryć przed ukochaną, nigdy z nią poezji tych czytać nie powinien. Im daléj czytałem poemat wysnuty „w Szwajcarji" tembardziéj żałowałem żem go zaczął czytać. Każdy wiersz wydawał mi się tak, jak gdybym ja sam go napisał, traciłem samego siebie, nie mogłem opanować drżenia głosu, czułem sam, że stawałem się blady. Czy pamiętasz ten cudowny ustęp, w którym tak wiernie malują się ułudy serc oszukiwanych falami losu: „A pod tym progiem fala tak się toczy — I tak swawolna i taka ruchoma, Że wzięła w siebie dwa nasze obrazy, I przybliżyła się łącząc rękoma, Chociaż nas tylko łączyły wyrazy; Ach, fala taka szalona i pusta, Że połączyła nawet nasze usta; Choć sercem tylko byliśmy złączeni, Fala tak pełna ruchu i promieni, Że jednym światła objąwszy nas kołem, Zmięszała niby anioła z aniołem. Gdy myślę — boleść dręczy mię niezmierna, Falo! niewierna falo! a tak wierna!...." Nie mogłem czytać daléj, poczuwałem zawrót głowy i w oczach mi się ćmiło. Złożyłem książkę i podniosłem wzrok na Wincunię. Leżała ona na kanapie. Od pewnego czasu leży najczęściéj słaba, blada jéj twarz jaśniała pod promieniem lampy na tle ciemnéj poduszki. Z cicha jak echo powtórzyła „Niewierna falo! a tak wierna!" i utkwiła w moją twarz oczy z dziwnym wyrazem. Co wyraz ten znaczył? nie rozumiałem, może nie chciałem — nie śmiałem — lękałem się zrozumieć — widziałem w nim taką okropną — a zarazem tak niebieską głębię, że chwila jeszcze, a byłbym upadł przed nią na klęczki i porwał ją w objęcia.

(d. n.)

LISTY

BRUKOWCA WARSZAWSKIEGO.

Tak jak wszystko mija na świecie, minęły i wigilje do św. Katarzyny i św. Andrzeja. Rozwiane w mgle wspomnienia, z wróżby jakie przyniosły, może i najsłabszem echem nie żyją już dziś w pamięci. Dawniéj niemałego były znaczenia. Młodzież otaczając stół przy którym odbywało się czarodziejskie przetapianie wosku lub ołowiu, z obawą i poszanowaniem przysłuchiwała się wróżbiarskiemu objaśnieniu wyciśniętych znaków na zastygłym w wodzie odlewie. Zwykle starsze usta wygłaszały zamknięte w nich tajemnice, a młodzież tamując oddech, tłumiąc westchnienie, przyjmowała przepowiednie z całą naiwnością wiary, powierzając przyszłość swą rozporządzeniom losu, którym zawładnąć nawet się nie siliła. Dziś los pomału traci na swéj potędze, siły własne już w większy wchodzą rachunek i potentata tego władcy niedołęztwa, po troszku skazują na eksmisję. Wróżba jednak zawsze jest miłą i pożądaną, tymbardziéj gdy się opiera na danych dających prawo do przypuszczeń. Danych tych znowu Warszawa parę dostarczyła, a chociaż pod postacią tylko projektów, miejmy jednak nadzieję że i czyn po nich nastąpi. Ludzi dobréj woli i chętnych na szczęście nie brakuje.

Pan G. w Kurjerze Warszawskim rzucił myśl utworzenia przy większych fabrycznych zakładach szkół rzemieślniczych, w których młodzież przechodząc pod kierunkiem właściwych przewodników wszystkie gałęzie miejscowéj działalności, uzdolniałaby się na przyszłych pracowników w obranym zawodzie. Opłata pobierana od uczniów obracanąby była na wynagrodzenie rzemieślnika-nauczyciela, a wyroby pod jego nadzorem dokonane, zostawałyby zyskiem zakładu. Uczniowie jako tylko przychodni dla zakładów nie byliby żadnym ciężarem, a jako z wykształceniem w szkołach nabytem, staliby się dzielną rezerwą z któréj czerpiąc przemysł rzemieślniczy, udoskonalałby się i łatwiéj z zagranicą wytrzymywał współzawodnictwo. Tą jedynie tylko drogą dojść do tego możemy, zakładów zaś podobnych u nas nie brak i szkoły projektowane mogłyby być utworzone przy każdym, posiadającym pewną ilość jakichkolwiek bądź warsztatów, poddanych pod kierunek jednego zwierzchnika. Być może że czeladź składająca poczciwe grono dzisiejszych rzemieślników, lękając się zbyt potężnego współzawodnictwa, nowość tę nie przyjmie ze zbyt wielką chęcią, wzgląd jednak zwierzchników na dobro społeczeństwa stawiane przeszkody powinien usunąć i wpływ ich szkodliwy ułagodzić. Przejścia przez reformy podobne zawsze spotykać się muszą z trudnościami: nałóg, konserwatyzm, obawa straty zarobku występują tu w postaci zawziętych szermierzy, gotowych bronić do upadłego, praw niby sobie przynależnych. Pokonano ich jednak wszędzie, a zwycięzcom nawet późniéj sami zwycięzcy przyklasnęli. To samo i u nas się stanie, ręce inteligentne zapanują w rzemiośle, proste zwyczajne zostaną przy toporze lub pile, nauka stanie na wyżynie i nęcąc tłumy, obrzucać będzie całą społeczność, światłem wielkiego majestatu.

W Gazecie Polskiéj pani M. N. rzuciła myśl założenia Bazaru dla robót kobiecych, którego celem ma być niesienie pomocy materjalnéj robotnicom w dostarczaniu im roboty, w udzielaniu zaliczeń i zajęciu się sprzedażą ich wyrobów. Pomijając rozbiór czynności Bazaru jako instytucji już w życie wprowadzonéj, pani M. N. do zebrania potrzebnego na to kapitału w ilości 5,000 rubli, przedstawia trzy drogi, a mianowicie za pomocą darów jednorazowych, przez zawiązanie spółki bezimiennéj i wypuszczenie akcji dziesięcio-rublowych i przez stowarzyszenie współdzielcze w rodzaju stowarzyszenia spożywczego, do któregoby same robotnice należały.

Nie ma wątpliwości że ta ostatnia droga jest najwłaściwszą i jak się autorka wyraża najsympatyczniejszą, ale zdaje się być niezmiernie trudna do wykonania. W kobietach naszych szukających w pracy zarobku, nie ma do tego odpowiednich zasobów intelektualnych, nie ma jeszcze wyrobionego pojęcia o ważności wszelkich stowarzyszeń, a za wiele jest przyzwyczajenia do spuszczania się na cudzą radę i opiekę. Gdyby nawet dziwnym jakim trafem, zebrała się ich potrzebna liczba do pierwszego zawiązku instytucji, to musiałby koniecznie przyjść ktoś z boku coby temu nadał ruch i życie i czuwał nad jego przyszłym rozwojem. Gdyby do towarzystwa współdzielczego chciały przystąpić Warszawianki należące do wszystkich klass społecznych, w utworzeniu i prowadzeniu instytucji nie byłoby żadnéj trudności. Są bowiem pomiędzy niemi główki prawdziwie ministerjalne, a i rządzić się i liczyć umieją doskonale. Pięćset zaś kobiet na Warszawę mogących złożyć składki po dziesięć rubli z widokiem odbierania od nich procentu, a nawet i kapitału w razie zażądania, nie jest znów tak wielką rzeczą, aby na to liczyć nie można było.

Pani M. N. kończąc swój artykuł prosi o rady, zdania i uwagi. Dla Brukowca przyzwyczajonego do próżniaczéj po mieście włóczęgi, zadanie to niezmiernie trudne. Farniente włoskie i kieif turecki zanadto mili towarzysze, aby się z niemi dla jakichsić tam Bazarów tak łatwo rozstawać. Komu bieda niech się ratuje jak może, wiem że mi na dziś i na jutro wystarczy, a potem.....? jakoś to będzie.

Otóż zdaje mi się, że najwłaściwsza byłaby Spółka bezimienna z akcjami dziesięcio-rublowemi, opłacanemi od razu i do spłaty rozdzielonemi na raty, aby jak najbardziéj ułatwić przystąpienie do niéj choćby najbiedniejszym robotnicom. Mając zaś ustawę, koniecznie należy komuś zająć się wprowadzeniem jéj w wykonanie. Trzeba chodzić, biegać, przekonywać, namawiać, trąbić jak to mówią przez wszystkie gazety i tygodniki, słowem narobić takiéj wrzawy i tartasu, żebym nawet ja chociaż przyzwyczajony do ulicznego zgiełku, a zatykał uszy bawełną chroniąc je przed ogłuchnięciem. W Wiedniu w roku zeszłym założone zostało Stowarzyszenie z dam i panów, mające na celu wyuczanie kobiet jakiéj pracy i ułatwienie zarobkowania. Złożone ze 150 członków, dla wychowanek urządziło odczyty naukowe i otworzyło Bazar do sprzedaży robót kobiecych. Bazar nie odpowiedział zadaniu, brakowało potrzebnéj wprawy w jego prowadzeniu, czyby więc na początek nie lepsze było u nas podobne Stowarzyszenie, niż Bazar? Sklep niechby wypłynął ze stowarzyszenia ale nie był bezpośrednim jego celem, stowarzyszenie

zaś jak Wiedeńskie, niechby przygarniało pod skrzydła swéj opieki biedne kobiety, ręce uczyło pracy, głowy myślenia i szukania rady, we własnéj sile lub w zjednoczonéj.

Wprawdzie zakład p. Szmidta jest jakby szkołą naukową pracy kobiecéj, ale żeby się rozwijał potrzebuje poparcia, zachęty i podniety; Stowarzyszenie i pod tym względem mogłoby ważne nieść usługi.

Zakład ten ma uczyć także czytania, pisania i rachunków, i tu Stowarzyszenie mogłoby wiele dobrego zdziałać. Koniecznie jednak ruch w tak zbawiennym kierunku, musi wyjść z góry i pociągnąć dół ku sobie.

Z tą nauką jednak to czyste utrapienie, nawet rząd w Japonji w celu szerzenia oświaty zapisał z Ameryki 25,000 tomów książek elementarnych dla szkół w Jeddo a murzyni w Stanach Zjednoczonych, owo plemię tak niedawno nisko stojące drukuje i redaguje pisma perjodyczne jakby z nauką byli od dawna w najlepszéj zażyłości. Według urzędowego sprawozdania w San Francisko, wychodzi pod redakcją murzyna dziennik p. t. Dźwignia, liczący 2000 prenumeratorów: drugi p. t. Słowa pokoju ma 1500 przedpłacicieli. W Nowym Orleanie dziennik Trybuna pismo codzienne, odbijane jest w 10,000 egzemplarzach a wydawany w Filadelfii p. t. Pamiętnik chrześcjański ma 5000 prenumeratorów. Oprócz tego w Nowym Yorku wychodzą dwa pisma: Lwi znak i Przegląd tygodniowy: w Baltimorze Wierny komisant i mnóstwo innych pomniejszych rozszerzonych w całéj Unji, a wszystkie te pisma nie tylko że są przez samych murzynów redagowane i drukowane, ale głównie przez nich czytane i prenumerowane. Rozwój ten oświaty zadziwiający jest w tem jeszcze szczególny, że nie tylko nie straszy dobrodusznych Amerykanów, ale przeciwnie porywa ich w swój wir i tak im pozawracał głowy, że popieranie jego stało się niajako modą, pragnącą gwałtem z murzyna zrobić człowieka. Ekscentryczni w każdéj rzeczy, wielkie zwycięztwo pod Sadową przypisują szkółkom. Wyrachowali bowiem że gdy w Austrji na 1200 mieszkańców, a w niektórych prowincjach na 4700 przypada jedna szkółka, w Prusach są tak rozgałęzione że na jeden zakład elementarny liczy się 650 mieszkańców.

Z dalekiéj téj podróży po amerykańskich stepach i europejskim lądzie, rojących się szkółkami i czytelnikami na wielkie utrapienie drukarń i fabryk papieru, zejdźmy na bruk Warszawski okolony wystawą delikatesów i rogami ulic zalepionych afiszami codziennych widowisk.

W Teatrze oprócz Donny Djanny komedji Moreta w przekładzie p. K. Kaszewskiego, któréj próby podobno już się rozpoczęły, ukaże się wkrótce na scenie Teatru Rozmaitości; Miss Multon dramat w trzech aktach przez Eugeniusza Muss i Adolfa Belot przekład p. Seweryny z Żochowskich Duchińskiéj, drukowany już w Tygodniku Mód. Drugi dramat p. t. Przepaść i komedja Uczynność i Wdzięczność, również drukowane w Tygodniku już dawno znajdują się złożone w Dyrekcji Teatrów, jest więc nadzieja że i na nie pomału przyjdzie kolej. Piękne to będą nabytki dla sceny naszéj, dramata bowiem zaleca myśl wyższa z wielkim talentem przeprowadzona, a komedję wielki dowcip z obrazowaniem krytycznem dwóch sprężyn społecznego ruchu, uczynności i wdzięczności.

Staranność Dyrekcji nie ogranicza się jednak na samem wprowadzeniu nowości na scenę: wzięła ona w opiekę i spokojność poważnéj liczby słuchaczy harmonizującą z poszanowaniem dla sztuki i występujących artystów. Skasowała bowiem owe nieznośne *bisy* i przywoływania w czasie przedstawienia, z których wynikający zamęt był prawdziwą plagą dla słuchaczy, zwłaszcza że zwykle powstawał w miejscach najefektowniejszych, gwałtem domagających się związku z dalszym rozwojem sztuki. Tymczasem *bis* i oklask psuły wszystko, niszczyły wrażenie, artystów stawiały w przykrem położeniu, a przeszkoda ta nie z samych górnych miejsc płynęła, ale i z dołu i z lóż pierwszo-piętrowych, pomimo sykań względniejszéj części widzów. Raz jednak przepis ten gwałtem chciano przełamać, Dyrekcja nawet przeparła, może to stanie się nauczką na przyszłości.

Współmieszkanie Ociemniałych

Wprzeszłą niedzielę byliśmy świadkami sceny niezmiernie rzewnéj, któréj wspomnienie na zawsze w pamięci zostanie. W numerze 47 naszego Pisma mieściła się wiadomość, że Dyrektor Instytutu Głuchoniemych i Ociemniałych p. Papłoński pragnąc wychowańcom swym po opuszczeniu zakładu w ciężkiéj ich doli nieść pomoc i ulżenie, wyjednał u władzy część gmachu po-augustjańskiego z przeznaczeniem go na czasowe dla Ociemniałych mieszkanie. Część ta obecnie odnowiona, oddaną już została na właściwy użytek, a w niedzielę odbyło się uroczyste jéj poświęcenie w obec profesorów Instytutu, przedstawicieli prassy perjodycznéj i innych osób dosyć licznie zgromadzonych.

Kiedy ksiądz Jagodziński wice-dyrektor Instytutu w asystencji nauczycieli tegoż, księży Busiakiewicza i Glińskiego i miejscowych księży Niemińskiego i Rzadkiego, przy ołtarzyku na prędce wzniesionym, zaintonował hymn o Duchu Świętym (Veni creator) ozwał się choralny śpiew samych Ociemniałych wykonany pod dyrekcją p. Konstantego Tropiańskiego nauczyciela muzyki w Instytucie. Należeli do niego dziewczynki i chłopczyki, uczniowie starsi i już wyszli z Instytutu, składając grono kilkudziesięciu osób różnéj płci i wieku, z wyrazem twarzy malującym wzruszenie, boleść niedoli i z oczami na wieki okrytemi ciemnicą. Zgromadzeni w ciszy, w kornéj na klęczkach postawie, wysłuchali tego pobożnego śpiewu jakby na gorące wołanie psalmisty, Duch Stworzyciela nawiedził sługi swoje i napełnił łaską serca które stworzył.

Po modlitwie i przemówieniu księdza Jagodzińskiego w którem wykazał zasługi Dyrektora Papłońskiego w doprowadzeniu do skutku powziętéj przez niego myśli, nastąpiło uroczyste poświęcenie całego mieszkania po ukończeniu którego chór Ociemniałych wykonał hymn dziękczynny (Te Deum laudamus). Następnie Szanowny Dyrektor zwracając się do wychowańców, przemówił do nich serdecznem słowem z owem namaszczeniem kochającego ojca i rozumnego zwierzchnika. Powiedział im, że społeczność zawsze jest chętna do niesienia pomocy prawdziwéj niedoli, czego dowód dała w urządzeniu obecnego współmieszkania, że w zamian nic od nich nie żąda, niczego nie domaga się, bo wie że spełnia tylko obowiązek przez naukę Chrystusa wskazany. Ale rozum, mówił daléj Szanowny Dyrektor, powiadający wam że jesteście równi wszystkim ludziom, ale serce odzywające się uczuciem własnéj godności, te was uczą czem się macie wypłacić za opiekę którą odbieracie. Wspomniał więc o potrzebie i godności pracy, o moralnem i uczciwem życiu i o pociesze jaką daje modlitwa.

Zwracając się następnie do nauczycieli, podziękował im za poniesione już trudy zachęcając do dalszego w zawodzie swym poświęcenia, a przedstawicieli prassy perjodycznéj prosił, aby jako reprezentanci ogółu współziomków, wyjednywali opiekę dla téj nowéj Instytucji tak potrzebnéj dla zaspokojenia jéj licznych a niezbędnych potrzeb.

Rzewność jaka towarzyszyła całemu temu przemówieniu nie da się opisać. Łzy tamowały mowę Szanownemu Dyrektorowi, łzy wytrysnęły z ócz wszystkich zgromadzonych, a nawet zaświeciły i w oczach tych, co je dla światła na zawsze mają zamknięte. Po zupełnem uspokojeniu wzruszenia, orkiestra Ociemniałych odegrała uwerturę z Niemėj z Portici ze zgodnością i precyzją chlubę przynoszącą jéj nauczycielowi p. K. Tropiańskiemu, a potem odśpiewaną została kantata kompozycji p. Romualda Zientarskiego wyrażająca radość i wdzięczność wychowańców Instytutu za współczucie i pomoc jaką otrzymali. Słowa do téj kantaty ułożone zostały przez ks. Jagodzińskiego, a p. Romuald Skorupski b. uczeń Instytutu Ociemniałych po ukończeniu śpiewu, wypowiedział drżącym od wzruszenia głosem wiersz dziękczynny własnego utworu na cześć Szanownego Dyrektora. Podpisanie protokułu otwarcia Zakładu przez przedstawicieli prassy perjodycznéj, zakończyło tę pamiętną uroczystość. Dalsze jego losy i powodzenie zależą od współczucia ogółu społecznego o którem na chwilę nawet nie powątpiewamy.

Współmieszkanie Ociemniałych sklada się z jednéj wielkiéj sali przeznaczonéj na warsztaty uczenie się muzyki w składzie orkiestrowéj, jedynéj niemal umiejętności dającéj im możność zarobkowania: z dwóch przyległych komnat na skład materjałów i przedmiotów już wyrobionych i z dziesięciu pokoików w korytarzu umieszczonych, z których jeden przeznaczony jest na wspólną kuchnię i pralnię, drugi na kapliczkę do wspólnéj także modlitwy, a osiem na mieszkanie w jakich już dwudziestu Ociemniałych znalazło odpowiednie pomieszczenie.

Na zaspokojenie niezbędnych wydatków nowéj téj Instytucji, jak sprawienie warsztatów, kupno instrumentów i przyniesienie pomocy w utrzymaniu życia tych nieszczęśliwych biedaków, z których zaledwie kilku może na nie dostatecznie zapracować, danym ma być koncert, o czem we właściwym czasie w piśmie naszym pomieścimy wiadomość.

Korespondencja z Paryża.

Jerzy Peabody o którego hojnéj dobroczynności, podałem bliższe szczegóły, na zaszczyt ludzkości nie jest ostatnim i znalazł godnego siebie zastępcę w osobie Stewarta bogatego kupca w New-Yorku. Bogacz to także niepospolity, dochody jego roczne obliczają na blisko osiem miljonów dolarów, co czyni siedemdziesiąt miljonów złotych. Z taką kwotką można coś zrobić, Stewart też używa jéj z całym przepychem i rozrzutnością prawdziwie obywatelską.

Młodość, praca, talent, zapał do nauki, łamanie się z trudnościami szczególnego w nim zawsze znajdują opiekuna. Nędza i ubóstwo nie są z niéj również wyłączone, ale wykłamanie pomocy znajduje w nim zawsze niepokonanego uparciucha. Sam wyrosłszy z ubóstwa, wysiłkiem pracy doszedłszy do bogactwa, zna wybornie wszystkie zabiegi oszustwa, kryjącego się pod maską niedoli. Jest też dla niego nieubłagany; praktyka życia dzielnie mu w tym względzie posługuje.

Staranność z jaką wyszukuje pola dla swéj działalności, nie ma prawie granic. Sledzi, szpieguje, przepatruje, zbiera wiadomości, wysyła ajentów tajemnych dla naocznego o stanie rzeczy przekonania się i jak tylko wszystko znajdzie w należytym porządku, pomoc pewna i stanowcza. Nie są to jednak nigdy chwilowe zasiłki, co biedzie na jakiś czas szpony przytępiają, ale pomoc odrazu stawiająca na nogi, a w każdym razie wprowadzająca na drogę wiodącą do pomyślności. Przewodniczy jéj jednak zawsze wielkie umiarkowanie, oblicza ściśle brak rzeczywisty, szacuje siły przyszłego pupila, pod względem wystarczania samemu sobie, i to co mu nie dostaje do zdobycia stanowiska dodaje chętnie, natychmiast, wpisując w budżet własnych swych rocznych wydatków.

Nigdy nie trzeba, powiada Stewart, przez zbyt szczodrą ofiarę niszczyć w ludziach energję działalności ducha. Potentat ten pod naciskiem potrzeby, zdolny do cudownéj niemal czynności, w pomyślności choćby najmniejszéj a nie własną usilnością zdobytéj, rozleniwia się od czego krok tylko do z niedołężnienia. Potrzeba, brak, czasem bieda, to dla niego gimnastyka, pozbawiony jéj traci siły i usypia.

Nieprzyjaciel pochwał i podzięki, choć z czynami swemi nie kryje się, ale nie lubi o nich mówić. To nie dla nich robię, ani dla siebie powiada, ale dla kraju. Z tych biedaków, co im dałem naukę, warsztat, przemysł, com ich wspomógł ratując od ruiny, com spłatą należności, rozwiązał ręce i nowy otworzył kredyt, mało który potrafiłby się wydobyć i stanąć na przynależnem mu stanowisku. Pomoc moja wszystkich prawie wyratowała, o tylu więc mniéj ojczyzna mieć będzie nędzarzy. Kupiłem jéj tylko ręce i głowy tych biedaków, co dla społeczności nie będą już ciężarem ale pożytkiem a może i jéj zaszczytami. Kto wie czy w téj młodzieży wspieranéj przezemnie, nie znajduje się drugi Waszyngton, Franklin, Linkoln albo Peabody.

Niechby jeden z nich siłą ducha, miłości i poświęcenia, wyrósł nad drugich, już byłbym z procentem zapłacony, za wydatki na wszystkich poniesione. Działalność podobnych olbrzymów to ubogacanie całéj społeczności we wszystkich składających ją jed-

nostkach. Gdyby nie Waszyngton, Anglja deptałaby nam po karkach gdyby nie Linkoln, Unja przepadłaby na wieki. Czyż dla ludzi takich rzucona w nagrodzie pod nogi bryła złota, tak nawet wielka jak świat cały, nie byłaby drobnostką bez żadnego znaczenia? — Cóż więc znaczą moje wydatki, na wspieranie pracy i talentu ponoszone? — Drobnostka, malutki grosik i to wytarty w połowie swéj wartości.

Raz Steward wracał sam z pieszéj przechadzki zamiejskiéj, jak zwykle skromnie bardzo ubrany. Nie daleko od drogi zobaczył jakiegoś robotnika, z zakasanemi rękawami siedzącego na ziemi wyrzuconéj z rowu, który kopał i zajętego pilnem czytaniem jakiejś książki. Przy robotniku leżał rydel, kaftan, czapka, na boku stała budka z gałęzi i sitowia ułożona, a przy niéj mała żelazna kuchenka z palącemi się w niéj węglami, w kociołku gotowały się kartofle a w ryneczce skwarzyła słonina.

Stewart pobudzony ciekawością zbliżył się ku robotnikowi.

— Dopomóż Boże w robocie — odezwał się siadając na pobliskim kamieniu.

Robotnik nie odwrócił nawet głowy, tylko coś mruknął pod nosem z widocznem niezadowoleniem. Był to człowiek lat 25 mieć mogący.

— Cóż to za książka co tak pilnie czytacie?

Robotnik machnął ręką jakby muchę odegnał, ale milczał i czytał daléj.

— Jeżeli to wy ten rów kopiecie — odezwał się Stewart i umilkł kręcąc głową.

— Ja kopię, tak ja czyli moje ręce? — odrzekł robotnik podnosząc głowę — więc cóż z tego?

— A nic, tylko tyle że go nie prędko wykopiecie, a szkoda bo w tem miejscu bardzo potrzebny.

— To mi pomóżcie — ot rydel, kopcie za mnie tylko mi nie przeszkadzajcie.

Stewart z najzimniéjszą krwią, podniósł pchnięty ku sobie rydel, zdjął wierzchnie ubranie, zakasał rękawów od koszuli i zabrał się do roboty jak najwprawniejszy pracownik. Praca ta choć ciężka nie była mu obcą, za lat młodzieńczych często nią się zajmował przy gospodarstwie swego ojca karczowniku leśnych pustkowi. Robotnik czytał daléj.

Po chwili woda w kociołku zaczęła kipić. Robotnik złożył książkę i zajął się odcedzeniem, utłuczeniem i okraszeniem kartofli. Wyjął następnie z torby kawał chleba, sól, nóż i łyżkę. Sewart przez ten czas ciągle kopał, robotnik popatrzył chwilkę na niego i odezwał się:

— Dzielnie kopiecie. gdybym miał takiego pomocnika, to wprędce ukończyłbym swoją robotę.

— To mnie przyjmijcie do spółki — odrzekł Sewart.

— Ba! zarobek ten bez podziału wejść musi do mojéj kieszeni, tak przyrzekłem Betty, a ja choćby zginąć, przyrzeczenia umiem dotrzymać.

— Bardzo sprawiedliwie, a Betty czy to siostra wasza?

— Ej! to długa historja — odrzekł robotnik—ale siadajcie, skromny mój posiłek jeżeli nim nie pogardzicie, jest na wasze usługi. — Oto łyżka, a że jedna będziemy się więc mieniać.

— Nie jestem głodny — odrzekł Sewart — wy jedzcie a ja będę kopał. I znowu Sewart zapuścił rydel w ziemię i zaczął potężne odłamy ziemi jeden po drugim na brzeg wyrzucać. Robotnik jadł ale przyglądał się pracującemu z niezmiernem zajęciem, po chwili odezwał się do niego:

— Musicie codzień jeść mięso i to nie skąpo, bo tak pracować jak wy nie każdy umie. Głupstwo robię że się oszczędzam w jedzeniu, bo co zyskuję na mniejszym wydatku, tracę na zarobku. Ale czegóżbym nie zrobił dla Betty.

— Czy to wasza kochanka?

— Nie panie to narzeczona moja. Kochaliśmy się od dziecka, rodziny nasze na nowym karczunku mieszkały nad Platą, wiodło się nam wcale dobrze, ale raz pokolenie dzikich Arrapahów napadło na naszą osadę, wszystko poszło z dymem i zostało nas dwoje sierot, bosych, obdartych i głodnych. W New-Yorku miałem stryja mydlarzem, a Betty ciotkę kramarkę nici i różnych kobiecych drobiazgów, postanowiliśmy więc pójść do New-Yorku. Szliśmy rok cały, a nawet drugiego dobrześmy zarwali, bo trzeba było i iść i zarobkować, a to nie tak łatwo.

Przybywszy na miejsce, stryja zastałem w grobie, a ciotka Betty poszła za mąż i wyniosła się z mężem do Bostonu. Poszliśmy więc w służbę do Stawedgren do jednego z właścicieli, Betty za kucharkę a ja za parobka. Po dwuletniéj służbie zawakowała w miejscu posada nauczyciela, do czego sposobiłem się podczas służby parobczéj, bo do pracy około roli nie jestem zapalonym zwolennikiem. Betty więc została u mnie gospodynią ale mieszka u sąsiadki, właścicielki sklepiku kramarskiego i jest u niéj sklepową, w chwilach zaś wolnych rano i w południe spełnia zajęcia w mojem gospodarstwie, bo przyrzekliśmy sobie nie wpierw się pobrać, aż ja zostanę mechanikiem a ona w New-Yorku otworzy sklepik z nićmi, włóczką i bawełną. Spólna taka praca da nam byt niezależny, a to do szczęścia niezmiernie potrzebne. Oszczędzamy więc jak możemy, a że teraz ferje w mojéj szkole, więc czas wolny poświęcam pracy zarobkowéj. Zdarzyło mi się kopanie rowów bardzo korzystne, wziąłem go więc bez namysłu, ale widząc że się źle rozporządziłem, muszę to zmienić. Ot i cała moja historja.

— A w czemże to źle rozporządziliście się? — zapytał Sewart niezmiernie zaciekawiony opowiadaniem.

— A źle i bardzo źle. Widzicie zarobek ten z kopania rowu, przeznaczyłem na utrzymanie przez czas praktyki w fabryce narzędzi rolniczych, do których ulepszenia mam pełno pomysłów w głowie, ale mało posiadam potrzebnéj nauki. Uczę się wprawdzie przez czytanie, ale wiele rzeczy nie rozumiem, czytanie więc nie przynosi mi tyle korzyści jak pragnę. Praktyka w fabryce ma mi to wynagrodzić, ale ferje krótkie, żeby więc kopanie rowów jak najprędzéj ukończyć, przeniosłem się na mieszkanie na łąkę. Oto mój dom — mówił daléj wskazując na budkę — to moja kuchnia, w tym dołku spiżarnia a w strumieniu piwnica z ożywczym nektarem który się woda nazywa. Kopię więc dzień i noc prawie, w chwilach przeznaczonych do przygotowania posiłku czytam, jem niewiele, spię mało i w tem właśnie źle się rozporządziłem, bo widocznie sił mi ubywa i codzień robota się zmniejsza. Tak jak wy, ja już nie umiem pracować a nawet czytanie idzie mi z uporem co mnie niezmiernie martwi. Głód jest tego powodem dla tego przypuściłem że musicie jeść mięso i to do syta nie w skąpych podziałach.

— No naturalnie—odrzekł Stewart — siła w człowieku wyczerpuje się, wzmaga ją jedynie dobre pożywienie, gdy to jest słabe i niedostateczne to i do pracy siły muszą być słabe i niedostateczne. Oszczędność pod tym względem nie korzyść ale stratę przynosi.

— Wiem, wiem, poznałem to po dzielnéj waszéj pracy, ja tak już nie mogę. Z początku szło mi nieźle, ale teraz osłabłem i ręce mi mimowoli opadają od rydla.

— Trzeba więc polepszyć pożywienie, inaczéj nie poradzicie.

— Ja też myślę o tem, ale kupno codzień mięsa wiele mi zajmie czasu a pragnąłbym go jak najmniéj marnować.

— To ja wam przyjdę z pomocą — odezwał się Sewart — i codziennie przyślę wam funt mięsa, co sądzę że będzie dostateczne.

— Aż nadto, pół funta wystarczy, ale jakże będzie z pieniędzmi?

— Każdą przesyłkę zapłacicie posłańcowi, a gdyby wam brakło pieniędzy....

— Otóż właśnie o to idzie, ale gdybyście przyjęli przekaz do właściciela łąki, to wam zaraz zapłaci.

— Zgoda, rękojmia dostateczna — odrzekł Stewart a robotnik na kawałku papieru napisał przekaz i podpisał Jan Dyhl nauczyciel w Stawedgren.

Przez cały następny tydzień, mięso regularnie dochodziło do pracującego Jana a Stewart przez ten czas zbierał wiadomości dotyczące jego osoby. Opowiadanie było najprawdziwsze we wszystkich szczegółach.

Betty była to jasnowłosa dwudziestoletnia dzieweczka, ubrana skromnie nawet ubogo, ale schludnie z wrodzonem poczuciem estetycznem, co nawet gałganek umie upiększyć. Jan zaś okazywał szczególne zdolności do mechaniki, i był w całéj okolicy głównym naprawiaczem wszelkich narzędzi i sprzętów, w związku z nią zostających. Stewart postanowił parę tę młodą wziąść w swoją opiekę. Jak więc tylko Jan ukończył rowy i przyszedł do miasta, umieścił go na praktyce w fabryce i oświadczył że gdy mu braknie pieniędzy, to mu pożyczy. Jan jednak nie korzystał z téj dogodności i po dwóch tygodniach oświadczył, że choć z żalem musi wracać do nauczycielstwa.

— A wiele ci czasu potrzeba, abyś mógł w fabryce zarobkować? Zapytał Stewart.

— Sądzę że we dwa miesiące to.....

— Więc ci pożyczę na życie przez ten czas, oddasz mi w ratach choćby najdrobniejszych, ale z nauczycielstwem rozstaniesz się raz na zawsze.

Jan więc został w fabryce, i rozpocząwszy od młota, hebla, piły i dłuta, po dwóch miesiącach został płatnym robotnikiem, regularnie co tydzień odnosząc małą cząstkę zaciągniętego długu Stewartowi. Wypłata trwała przez rok cały, w któréj raz tylko prosił o zwolnienie. Biedak, pragnął ofiarować Betty w dzień jéj urodzin, parę eleganckich bucików, musiał więc wszystkie wytężyć siły swego worka, aby starczyły na kupno tak drogiéj rzeczy. W następnych tygodniach dalsza spłata długu szła już bez żadnéj przerwy.

Po roku Jan został dozorującym pewną częścią warsztatów, a Betty otworzył Stewart na założenie sklepu kredyt. W pół roku młoda para pobrała się, Betty wyborną została kupcową, Jan dostał po rocznym dozorze warsztatów zarząd całego mechanicznego oddziału, i tak się dzielnie sprawił, że po dwóch latach wzięto go do współki nowo założonéj w Bostonie fabryki. Dziś ów biedny wyrobnik został miljonerem, a Stewart powiada że Jan Dyhl jest najcenniejszą jego zdobyczą, bo grosza na niego nie stracił, a zyskał zadowolenie, którego i za miljony nie kupi.

Tak to w nowym świecie wyrastają ludzie i tacy są tam bogacze. Jest to jeden tylko rys z życia Sewarta, a takich setki możnaby przytoczyć.

Obok téj że tak powiem domowéj działalności tego zacnego męża i w publiczném dobroczynieniu, niemniéj był roztropnym a hojnym bez miary. Ponieważ rozwój przemysłu swego głównie zawdzięcza wyrobnicom wystawił więc dla nich gmach obejmujący sześćset izb, łazienki, restaurację, bibljotekę, czytelnię i pokoje do wspólnéj zabawy mieszkanek. Przytułek ten w którym biédne robotnice wszystko mieć będą za pół ceny, kosztował go trzy miljony dolarów. Tyleż wydał na takiż sam zakład dla uczniów handlowych. Przytoczyłem tylko ważniejsze cyfry, drobniejszych zawadzających o tysiące i krocie nie wymieniam, za długa byłaby ich litanja. Cóż więc dziwnego że społeczność mając takich obywateli, jest potężna i bogata.

Kronika teatralna.

Mauprat, drugi występ p. Stanisława Wardzyńskiego.

Zapóźno byłoby dzisiaj zastanawiać się nad wartością takiéj sztuki jak *Mauprat*, która od wielu lat już stałe miejsce zajmuje na scenie naszéj: jest to sobie taki dobry melodram jak wiele innych, a znajdują się nawet gorsze od niego, które jednak żyją. Trudno także samemi arcydziełami wypełniać repertuar bo w takim razie musiałby on być bardzo ograniczony. Mauprat ma przynajmniéj zaletę kilku postaci wdzięcznych a nawet ponętnych dla artystów, i taką jest rola *Bernarda*. Dziki ten młodzian, wychowany w jastrzębiem gnieździe bandytów, zbuntowanych przeciw prawu społecznemu, na niedostępnéj skale oddzielonéj od świata cywilizowanego, dostaje się nagle w towarzystwo najwykwintniejsze, w którem ma odbyć nową szkołę życia. Gwałtowny, dumny, nieugięty, buntuje się zrazu przeciw formom, zadaniom i dążeniom tego nowego świata; wygląda w nim jak wilk świeżo ujęty w lesie i wprowadzony między silne, a jednak ciche i karne domowe zwierzęta. Jedyną siłą, modyfikującą w nim dzikość natury i wychowania, jest miłość dla *Edmei*, ale i ta niezdolną była całkowicie zapanować nad rozhukaniem wulkanicznéj organizcji. Depcząc wszystko naokoło siebie, Bernard w burzy serca zdeptał i te obowiązki jakie miał względem jedynéj, ukochanéj istoty. Dopiero odepchnięty, żalem i tęsknotą znękany, po odbyciu szkoły życia o własnych siłach, wraca z innemi usposobieniami, i staje się godnym przebaczenia obrażonego anioła.

Taką to rolę, w dniu 24 Listopada, przedstawić miał p. Stanisław Wardzyński jako drugi swój popis dramatyczny. I znowu był to tylko egzamin ucznia, tak jak poprzednio *w Zbójcach*, nie zaś debiut artysty; znowu młody adept wystąpił z temi samemi jak przedtém zaletami, i — z temi samemi, tylko w nie-

co zmniejszonym formacie, wadami, z których najbardziéj uderzającemi są: surowość i jednostajność; na rzecz zaś zalet widocznie postąpił w szlachetności i odpowiedności giestu, w grze fizyonomii: W téj jego roli widać było przynajmniéj że ma oczy, i że wzrok jego potrafi coś wyrazić, choć jeszcze bardzo dalekim jest od wyrażenia wszystkiego. Nam się wydaje że p. Wardzyński bardzo źle zrobił rzucając się odrazu na role nader trudne, jeżeli nie najtrudniejsze, i do tego fizycznie wyczerpujące. Powtóre, wpłynęło i to wiele na niekorzyść jego położenia, iż wystąpił w sztukach znanych, nastręczających sposobność do porównań gry, budzących pewne reminiscencye. Słowem, utworzył sobie położenie najtrudniejsze. Człowiek bez żadnych zdolności, przy tak małéj uprawie, przy tak małoznacznem obeznaniu się ze sceną, mógłby łatwo wobec takiego zadania stać się śmiesznym, nieznośnym. P. Wardzyński dalekim był od tych ostateczności: blady, gdybyśmy go chcieli sądzić na skalę prawdziwego artysty, — zwraca poważną uwagę jeśli go sądzić będziemy na skalę ucznia początkującego. Niech się p. Wardzyński nie zraża tem co o nim pisał teatralny sprawozdawca „Kłosów“ oceniając go z roli *Karola* w Zbójcach. Zły humor nie stanowi zdania. Wszakże ten sam sprawozdawca, po pierwszem wystąpieniu w świat literacki ś. p. Józefowicza — Hlebickiego, nie miał dość słów potępienia na jégo pierwiastkowy utwór: „Po naszemu“, nazwał go *rozpaczliwą miernością* (Gaz. Warsz. 1860) i t. d. a jednak niedługo potem tenże sam Józefowicz był nader cenionym współpracownikiem tychże samych „Kłosów“, które żywą boleść oświadczyły z powodu straty poniesionéj w autorze „Bony“, — i cała literatura nasza niemniéj żywo odczuła zawczesną śmierć *utalentowanego* pisarza. Opinja i wróżby nie sprawdziły się.

Jakie rozwinięcie i jakie rozmiary przybierze talent p. Wardzyńskiego przesądzać nie śmiemy, i zdaje się nikt, z takich szczupłych danych, nie może powiedzieć nic pozytywnego o rzeczy podległéj tylu i tak rozmaitym warunkom. Uprzedzamy wszelako p. Wardzyńskiego przeciwko bezmyślnym objawom ferworu, przeciw klaskaczom którzy krzyk biorą za energję, obcesowość za werwę; niechaj on nie bierze na serjo wszystkich wywoływań i huków, a raczéj wierzy tym co mu powiadają, że go jeszcze czeka długa mozolna musztra nim zasłuży na to iżby, chociaż jako prosty szeregowiec, godnie mógł stanąć w regularnéj armii artystów i zdobyć złote ostrogi sztuki. Przy sposobności niech się też raz przecie nauczy wymawiać spółgłoski, nie zamieniając ustawicznie *e* na *a*.

Jedyna prawie rola kobiety (Edmei) w Maupracie przypadła pani Modrzejewskiéj. Nawykliśmy widzieć tę artystkę w rolach wypełnianych znaczeniem poetyczném i artystyczném, tak, że z téj roli, wcale kommunalnéj, nie możemy jéj sądzić. Wszystkie jakiekolwiek są tu sytuacye, pani Modrzejewska przebiegła na innych miejscach, nic tu zatem zyskać więcéj nie mogła. Dzieli się ona tu między dumą kobiecą i czułością, bo kocha tego dzikiego Bernarda, który ją ciągle obraża. Któż dzisiaj już nie wié, że p. Modrzejewska umie być i dumną i czułą; dwa zaś te przymioty Edmei nie mają w sobie jakichś szczególnych odcieni artystycznych, w którychby talent aktorki wystawiony był na ciężką próbę, lub tworzył pola do dyskussyi. Może prawda jéj gry lepiéjby wyszła, gdyby znalazła umiejętniejsze poparcie w Bernardzie.

Przy głównem zwróceniu uwagi na grę debiutanta, p. Modrzejewskiéj i Królikowskiego niepostrzeżenie przeszła gra p. Chęcińskiego w roli starego wieśniaka *Parience*, a jednak była to gra, rzec można, wzorowa, szlachetna, równa, artystycznie pojęta i przedziwnie wygłoszona. Niesprawiedliwością również byłoby pominąć p. Piaseckiego, który krótką ale bardzo trudną rolę *Leonarda* oddał z energją i prawdą, szkoda tylko że przesadził aż do trywialności malaturę powierzchowną krwi: sztuka nie potrzebuje tak krzyczących oznak zmysłowych.

X.

O UBIORACH.

Korespondencja z Paryża.

Jak zwykle o téj porze roku, wielkie magazyny paryzkie wystawiają na widok publiczny towary przygotowane na zimę. Mnóstwo nie tylko kupujących ale i ciekawych garnie się do tych sklepów które mają przywiléj ustalania mody. Byłam i ja w wielkim magazynie St. Thomas, ten jako położony na arystokratycznem przedmieściu St. Germain, więcéj niż inne odznacza się doborem przedmiotów, a przez to samo, wyrokuje o panującéj modzie.

Rozpocznę od pięknych zimowych okrywek i płaszczyków, jako najpotrzebniejszych na tę porę. Do najozdobniejszych należy płaszczyk aksamitny czarny krajany kulisto, z tyłu dosyć długi, podcięty okrągło po bokach, a z przodu znowu przedłużony. Przez plecy do stanu wpuszczony wielki fałd, przytwierdzony trzema rozetkami z pasmanterji. Dół płaszczyka nagarnirowany pasmanterją i piękną jedwabną frendzlą. Idzie do tego peleryna rozcięta w tyle, tak że nie pokrywa trzech rozet. Peleryna spada poniżéj stanu, pod nią porobione w płaszczyku otwory do przesunięcia ręki. Wspaniała ta okrywka trudno jednak żeby się upowszechniła gdyż cena jéj niedostępna dla wszystkich. Kosztuje od 300 do 400 franków.

Podobne okrywki robią także z ciężkiéj jedwabnéj materji *faye* podwatowane i podbite pikowaną marseliną lub fularem.

Dla młodych osób uważałam aksamitny paletot do stanu, z aksamitu czarnego, rozcięty w tyle, podniesiony po bokach dla oznaczenia rogówki, z przodami spadającemi prosto. Ogarnirowany był w koło ruszą jedwabną, z pod któréj spadała koronka. U szyi na ramionach i na mankiecie szła odpowiednia rusza. Wielka rozeta z pasmanterji, zastępowała w tyle kokardę, od téj rozety spadały trzy pletnie z kwastami. Podobne rozety podpinały paletocik po bokach.

Inny jeszcze paletot z aksamitu, wcięty w stanie, porozcinany u dołu i po bokach, obszyty był barankiem astrachańskim. Rękawy dosyć szerokie miały stosowne obłożenie. W górze oznaczony karczek pasem z takiegoż futra.

Z pomiędzy skromniejszych okrywek uważałam paletociki czarne jedwabne średniéj długości, podbite popielatym futerkiem, bez żadnego garnirunku, spięte na piersiach trzema grubemi pętlicami. Po bokach naszyte kieszenie z wyłożoną klapą. Rękawy u nich wązkie.

Inne znów paletoty dęte z ciepłéj tkaniny wełnianéj Bristolu spinają się z przodu na dwa rzędy aksamitnych guzików. Ozdobę ich stanowi kołnierz aksamitny z odwiniętemi klapkami, mankiet aksamitny i podobna klapa na kieszeniach.

Do bardzo używanych należą też płaszczyki z ciepłego sukna, zapięte z przodu na guziki, obszyte frendzlą i pasmanterją. Peleryna do tego podobnież ogarnirowana spada poniżéj stanu.

Zpomiędzy kaftaników do pokoju, najwięcéj uważałam czarnych sukiennych lub aksamitnych, naszytych plecionką złotą gładko lub w deseń, ze złotą frendzelką ubrzegu, przód do połowy zapięty na złote guziki.

Wiele paletotów i płaszczyków aksamitnych, obszywają w tym roku skunksami — spód podszyty popielatem futerkiem.

Do nowości tego rocznych należą kostiumy zrobione z ciepłego wigoniowego szala lub z angielskiego pledu tartanowego. Widziałam w powyższym magazynie takie szale sprzedawane umyślnie na kostiumy. Są one gładkie, w kolorze popielatym, brązowym, czekoladowym lub musztardowym, ze szlakiem odmiennego koloru najczęściéj fijołkowym lub czarnym. Szal taki wystarcza na krótką spódnicę i na pelerynę, pod to daje się spódniczka kaszmirowa tego koloru jak szlak, naszyta falbankami. Frendzla od szala stanowi ukończenie tak wierzchniéj spódnicy jak i pelerynki.

Z innych tkanin zimowych należy do nowości gruby ciepły wyrób zwany: *Drap de Suez*, tartan gładki szkocki, sarża angielska w poprzeczne prążki *Diagonale*, a na koniec wyrób najmodniejszy *Satin de Thibet*, czyli atłas wełniany, w rozmaitych kolorach. Kolor brązowy, wiśniowy, rozmarynowy i śliwkowy, należą w tym roku do najmodniejszych.

Moda sukien i kostiumów tybetowych ciągle się utrzymuje, w ogólności noszą je ciemne, niekiedy jednak młode panienki a nawet i mężatki, noszą je w żywych kolorach, te ostatnie używane wyłącznie do powozu lub w domu. Na ulicy wiele ich nie widać. Uważałam między innemi śliczny kostium z niebieskiego kaszmiru *bleu mexique*. Spódniczka miała trzy wolanty obszyte czarną aksamitką na palec. Na to szła druga spódniczka podpięta w tyle, ogarnirowana wolantem, przepasana czarną aksamitną szarfą z krótkiemi końcami. Stanik spięty na czarne aksamitne guziki, miał karczek naszyty aksamitką, mankiet u rękawa podobnie przybrany.

Inny kostium z białéj angielskiéj serży, przybrany był w tymże rodzaju, szeroką czarną aksamitką.

Kolor czarny zawsze przemaga nad innemi. Kostiumy czarne aksamitne, jedwabne, kaszmirowe i sukienne, trzymają w tym roku pierwszeństwo.

Seweryna D.

MAGAZYN

OKRYC I SUKIEN DAMSKICH

Jana Thonnes'a

przy ulicy Senatorskiéj, wprost pałacu Prymasowskiego

zaopatrzonym został w najnowsze fasony, posiada znaczny wybór kostjumów wełnianych i jedwabnych; paletotów, burnusów aksamitnych, pokryć na futra, talm, sortie de bal, kapturków, halek amerykańskich kapelusików aksamitnych, mufek i wiele innych stroi do toalety damskiéj potrzebnych.

Powyższy Magazyn przeznaczony li tylko na gotowe rzeczy, znajduje się na parterze w oddzielnem pomieszczeniu, a będąc połączonym z Magazynem frontowym Towarów Bławatnych, nadto posiadając znaczne pracownie, jest w możności z materjałów tamże kupionych, wykończenia w jak najkrótszym czasie chociażby największych wypraw, jako też pojedynczych sukien tak balowych jak również wizytowych i spacerowych, po cenach najumiarkowańszych.

(9256).

— Księgarnia *Gebethnera* i *Wolfa* otrzymała ze Lwowa:

Przegląd

NAJNOWSZYCH PODRÓŻY I ODKRYĆ

Geograficznych

podług oryginalnych dzieł i sprawozdań tegoczesnych podróżników

ułożył

Lucjan Tatomir.

Cena Rs. 1 kop. 35.

Nakładem kantoru księgarskiego Zygmunta Szleifsteina przy ulicy Ś-to Krzyzkiéj, wprost ulicy Włodzimierskiéj pod N. 1341 (13) na pierwszém piętrze wyszedł pierwszy zeszyt drugiéj serji dzieła pod tytułem: *Świat Duchów* czyli sny, przeczucia i widzenia pod redakcją Leona Rogalskiego. Cena za 2-ą serją z przesyłką na prowincji wynosi rs. 1.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza Ulica Zabia Nr. 956* dom dawniéj *Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się dodatek z drzeworytami.

Druk Karola Kowalewskiego. Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj. Redaktor J. K. Gregorowicz.

TREŚĆ.

N. 1. Kostium dla młodéj osoby. — N. 2. Wizytowa suknia. — N. 3. Wizytowe ubranie. — N. 4. Kwadrat z siatkowéj gipiury. — N. 5. Patarafka pod lampę. — N. 6. Wyszycie srodkowéj części patarafki.—N. 7. Wyszycie brzegu patarafki. —N. 8. Szlak tiulowy z frendzlą. — N. 9 i 10. Kolnierzyk stojący z frywolitami i haftowanemi pęczkami. — N. 11. Lambrekina czyli wykład na etażerki, koszyczki. — N. Lambrekina na etażerki koszyczki —N. 13. Worek na nogi.—N. 14 i 16. Szaliki włóczkowe. — N. 15 i 17. Wykonanie bombków w ramach do szalika włóczkowego. — N. 18. Deseń do szalika włóczkowego. — N. 19. Wyszycie sznelą na kanwie zwanéj: Filoche. — N. 20. Haft sznelowy na kanwie: Filoche. — N. 21. Gumowy kalosz na wysokie obcasy.—N. 22. Kastorowy kapelusz z gazowym woalem.— N. 23. Aksamitny kapelusz z piórami. — N. 24. Aksamitny kapelusz. — N. 25. Fason kapelusza. — N. 26. Kapelusz z ciemno zielonego aksamitu. — N. 27. Kapelusz z czarnego aksamitu. — N. 28. Parawanik do swiecy. — N. 29. Paletot zimowy dla chłopczyka. — N. 30. Kaftanik dla małéj dziewczynki. — N. 31. Talma z kapturkiem spuszczonym.—N. 32. Talma z kapturkiem na głowie. — N. 33. Płaszczyk z tartanu szkockiego. — N. 34. Paletot ze stebnowanym garnirunkiem. — N. 35. Ubranie chłopca.

N. 1. Kostium spacerowy dla młodéj osoby.

Suknia z tartanu szkockiego w szafirowe i zielone kraty, z paletotem do figury o podwójnéj baskinie z granatowego sukienka, oszytym listwą szeroką aksamitną i takiemiż czarnemi kokardami. Kapelusz czarny aksamitny ubrany szafirowem i zielonem, z długim woalem gazowym czarnym, okręconym w koło szyi, dopełnia całości.

N. 2. Wizytowa suknia.

Suknia zielona jedwabna, zielonemi aksamitnemi pasami przybrana, z wierzchu tunika popielata jedwabna, naszyta czarnemi koronkami i zieloną aksamitną listwą. Przody płaszczykowéj t u n i k i, krają się razem z szerokiemi rękawami; plecy ściągają się szarfą do figury, przody odcięte od stanu tak się urządzają, żeby schodząc się z boku formowały na przodzie, rodzaj drugiéj gładkiéj spódnicy, pasek aksamitny pokrywa rozcięcie. Zamknięty kapelusz aksamitny zielony z czarnemi koronkami, ubierają zielone i popielate pióra.

N. 3. Wizytowe ubranie.

Suknia z jasnéj, paletot z ciemno - brązowéj popeliny, która użyta także na garnirunek sukni; paletot ubierają rusze wypustkowane atłasem, f r e n dzla i atłasowe ciemniejsze pliski. Rozetki podpinające go, robią się z 48 cent. długiego 4½ szerokiego wązko lamowanego paeka, zeszytego ze skośnych stron razem, kontrafałdowanego i przytwierdzonego guzikiem. Kontrafałdy ściągnięte po lewéj stronie z sobą nadają rozecie formę ząbkowaną. Kapelusz z „velours épinglé,“ w dwóch brązowych cieniach, ozdabiają wstążki i kwiaty. Rozeta przedstawiona w N. 48 Ty. Mód. Rycina 38.



N. 1. Kostium dla młodéj osoby. N. 2. Wizytowa suknia. N. 3. Wizytowe ubranie.

N. 4. Kwadrat z siatkowéj gipiury.

Kwadrat ten jako pokrycie na stół, pudełeczko itp. można odrobić stosownie do potrzeby z cieńszych albo grubszych nici. Jedna jagódka z grona, robi się okręcając cztery oczka siatki, w rodzaju pajączków. Liście cerują się przez środek i wywłóczą z brzegu; całe tło wyszyte jest ściegiem używanym do gipiury.

N. 5 — 7. Patarafka pod lampę.

Ośmiokątny model patarafki, liczy 24½ cent średnicy, trzyma z każdéj strony po 10 cent. Obydwa zdobiące ją brzeżki, podane są w naturalnéj wielkości pod N. 6 i 7. Jak to widzimy z ryciny, najwpierw przyszywa się na skórzanéj kanwie, koronka w zęby, rozmierzona na ośm równych części, poczem daje się dopiero sznelkowe wyszycie. Grubsza kolorowa sznelka dana z brzegu, przytwierdza się kilku ściegami jedwabiu na obydwóch szlaczkach. Cieńsza sznela czarna i kolorowa przyczepia się luźnemi ściegami, z zachowaniem ośmiu kątów patarafki. Podstawka z kartonu, lamuje się 3 — 4 cent. szeroką, czarną aksamitką, którą zastąpić można także ruszą ze wstążeczki.

N. 8. Tiulowy szlaczek z frendzlą.

Szlaczek ten do szarfy, woalek i t. p. wyszyty kolorową filozelą godług ryc. 8 naśluduje kosztowną koronkę. Liść każdy, odrabia się dzierganiem, reszta deseniu prosto się wywleka. Żeby trwaléj przyczepić frendzlę, wyciąga się brzeg tiulu podwójnie jedwabiem, i przywiązuje do niéj nierozcinane pętelki.

N. 9 — 10. Dwa stojące kołnierzyki.

Atłasek i frywolitki „roboczą i pomocniczą nitką.“

Rycina objaśnia dokładnie robotę, dodajemy tylko że haftowane muszki dają się na podwójnych, prostych batystowych paskach.

N. 11 — 12. Wykłady dwa na koszyki, etażerki itp.

N. 11. Lambrekina czyli wykład wyszyty czarnym cienkim jedwabiem na żółtéj pice lub suknie; brzeg obrabia się dwoma rządkami dzierganiа.

N. 12. Wykład z haftem atłaskowym i frywolitkami.

Na białem rypsowem tle, widzimy kwiatek frywolitkowy z lila jedwabiu; każdy listek, wymaga pętelki zamkniętéj z 16 podw. węzeł. z 1 pikotem i jednego węzeł. o 8 zaciągnięciach, który wypada zadziergnąć o pikot pod pętelką; żółty węzełek stanowi kielich kwiatka, liście robią się atłaskowe, zielonym jedwabiem. Wydzierganie podwójnych ząbków, daje się podwójne: z żółtego jedwabiu i czarnéj filozeli, na grubéj nitce obrobionéj.

N. 13. Worek na nogi.

Ciepłe to pokrycie nóg w czasie mrozów, bardzo wygląda ozdobnie z czerwonego safianu, oszyte białemi królikami i szlakiem haftowanym. N. 13 daje dokładne wyobrażenie szlaczka, 4 cent. szerokiego, czerwono ze złotem odrobionego. Zewnętrzne kontury deseniu szlaka, odznaczają się sznurkiem, wewnętrzne zaś zapełniają luźnemi krzyżykami czerwonemi, a między niemi węzełkami otoczonemi złotym sznurkiem czarno obwiedzionym. Pierścienie i kwadraty gładko złotem obwiedzione robią się atłaskiem, gałązki mają złote żyłki; jeden czerwony, a jeden złoty ścieg, stanowią liście. Cyfry haftują się także czerwonym atłaskiem, obwodzą złotym sznurem i ozdabiają złotemi pęczkami.

N. 14 — 17. Dwa szaliki włóczkowe.

Materjał: A n g i e l s k a włóczka, filozela i foremki od guzików.

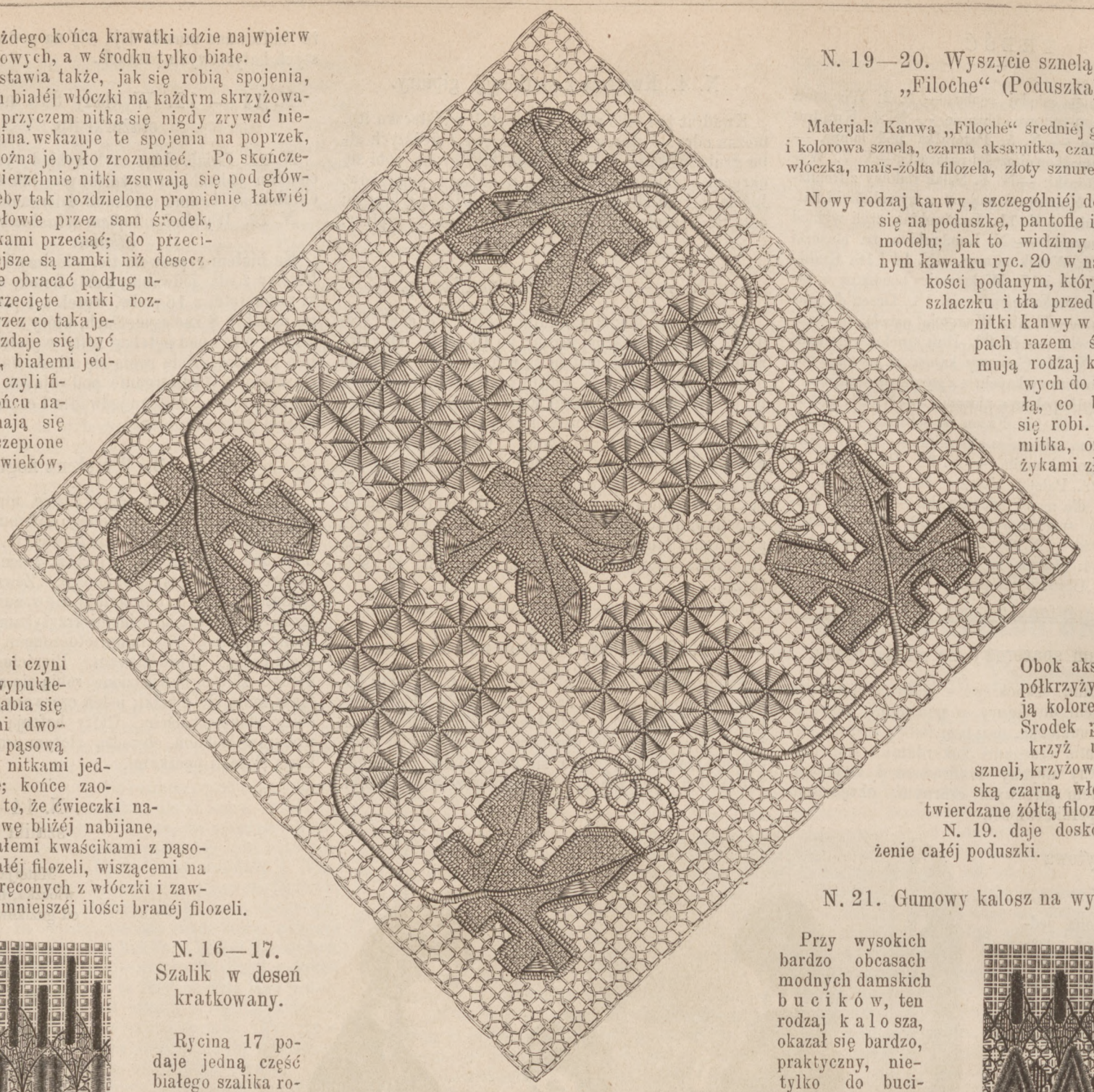
R o b o t a powyższa bardzo się okazuje praktyczną, na wszelkiego rodzaju szaliki. Widzieliśmy już niejednokrotnie, że zamiast koniecznych dawniéj na ten rodzaj r o b o t y ramek, używano prostéj drewnianéj deseczki albo blatu od zwyczajnego stołu. N. 15 i 17 daje doskonałe wyobrażenie podobnéj roboty w ramkach, a nawet próbkę bombelków. Jeśli rozłożemy robotę na deseczce, trzeba najwpierw wyrysować formę jaką nadać chcemy, a na konturach, ponabijać ćwieczki z okrągł e mi główkami, za które dopiero zakładają się krzyżowane nitki. (obacz ryc. 15).

N. 14 i 15. Szalik włóczkowy w deseń.

Na ten szalik odrysowywa się równy pasek, 5 cent. szeroki, a 97 cent. długi; odległość ćwieczków nabijanych tak się oblicza, ażeby ćwiek narożny, był o pół razu węższy jak inne równo rozmierzone. Szalik biały z pąsowem, robi się jak to ryc. 15 przedstawia, nakładając najwpierw w podłuż, następnie w poprzek po 2 nitki białéj filozeli; daléj po każdéj stronie po jedném pąsową, w środku po dwa białe pasma filozeli po 20 nitek liczące przez całą długość roboty. Téj saméj grubości i takim samym sposobem nakładane pasma w poprzek, tak wy-

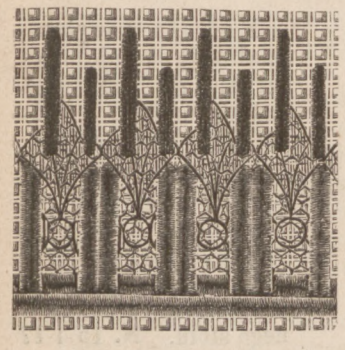
d2dają, że z każdego końca krawatki idzie najwpierw 8 promieni pąsowych, a w środku tylko białe.

N. 15 przedstawia także, jak się robią spojenia, zadziergnięciem białéj włóczki na każdym skrzyżowaniu promieni, przyczem nitka się nigdy zrywać niepowinna. Rycina wskazuje te spojenia na poprzek, żeby łatwiéj można je było zrozumieć. Po skończeniu téj kraty, wierzchnie nitki zsuwają się pod główkę ćwieczka, żeby tak rozdzielone promienie łatwiéj w spodniéj połowie przez sam środek, ostremi nożyczkami przeciąć; do przecinania, dogodniejsze są ramki niż deseczka, bo można je obracać podług upodobania. Przecięte nitki rozstrzępiają się, przez co taka jedna bombelka zdaje się być spojona z drugą, białemi jedwabnemi nićmi czyli filozelą. W końcu nareszcie, przecinają się i promienie zaczepione na główkach ćwieków, przez co robota się uzupełnia; należy ją jeszcze potrzymać nad gorącą parą, która nastrzępia włókniste nitki i czyni bombki bardzo wypukłemi. Szalik ozdabia się jeszcze płaskiemi dwoma guzikami, pąsową włóczką i kilku nitkami jedwabiu okręcone; końce zaokrąglone przez to, że ćwieczki narożne, są o połowę bliżéj nabijane, ozdabiają się małemi kwaścikami z pąsowéj włóczki i białéj filozeli, wiszącemi na sznureczkach ukręconych z włóczki i zawsze w nierównie mniejszéj ilości branéj filozeli.



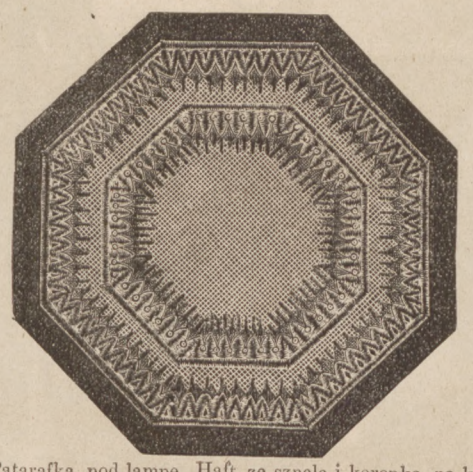
N. 4. Kwadrat z siatkowéj gipiury.

N. 16—17. Szalik w deseń kratkowany.



N. 6. Wyszycie środkowéj części patarafki. Do ryc. 5.

Rycina 17 podaje jedną część białego szalika robionego w całości w ramkach, który po ukończeniu zeszywa się wzdłuż po lewéj stronie, przez co szew wypadły przez środek, czyni go podwójnym. Szerokość jego wynosi 8 cent. długość 97 cent. Podług rysunku ryc. 17 wbijają się ćwieczki, na których wzdłuż rozpiąć trzeba po 2 nitki, na których krzyżują się po 2 poprzeczne, tworzące równe kwadraty. Kwadraty te spajają się razem białą nitką włóczki, co formuje rodzaj zębów, przy czem nitkę białą, przesuwa się ciągle niezrywając pod spodem. Przy tém spajaniu w 6 środkowych rządkach, dobiera się także biała nitka jedwabiu, dobrze igłą zamocowana, która kwadraty cokolwiek wypuklejszemi czyni. Skończoną robotę, zdejmuje się z ćwieczków, zeszywa przez środek i ozdabia na końcach przyszytemi z wierzchu kolorowemi bombelkami i kwastami. Bombki wspomnianę robią się z kolorowéj włóczki osobno, jak ryc. 15—17 wskazuje; można też przymięszać kilka jedwabnych nitek.



N. 5. Patarafka pod lampę. Haft ze sznelą i koronka na kanwie skórzanéj.

N. 19—20. Wyszycie sznelą na kanwie: „Filoche“ (Poduszka).

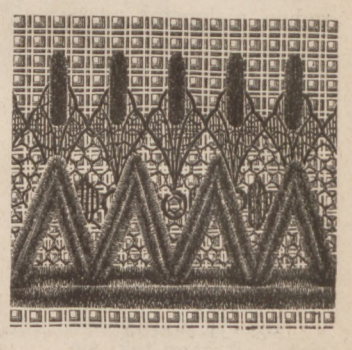
Materjał: Kanwa „Filoché“ średniéj grubości, czarna i kolorowa sznela, czarna aksamitka, czarna andaluzyjska włóczka, maïs-żółta filozela, złoty sznurek.

Nowy rodzaj kanwy, szczególniéj dobrze wydający się na poduszkę, pantofle itd. stanowi tło modelu; jak to widzimy na niezarobionym kawałku ryc. 20 w naturalnéj wielkości podanym, który pewną część szlaczku i tła przedstawia, cienkie nitki kanwy w równych odstępach razem ściągnięte, formują rodzaj kwadratów, łatwych do wyszycia sznelą, co bardzo szybko się robi. Czarna aksamitka, ozdobiona krzyżykami złotego sznurka, stanowi szlak wyszyty pół i całemi krzyżykami i całe zarobienie szlaku sznelką w dwóch kolorach. Obok aksamitki będące półkrzyżyki, odpowiadają kolorem robocie tła. Środek poduszki ma na krzyż układane nitki szneli, krzyżowane andaluzyjską czarną włóczką, i przytwierdzane żółtą filozelą.

N. 19. daje doskonałe wyobrażenie całéj poduszki.

N. 21. Gumowy kalosz na wysokie obcasy.

Przy wysokich bardzo obcasach modnych damskich bucików, ten rodzaj kalosza, okazał się bardzo, praktyczny, nietylko do bucików kozłowych, ale nawet na wielkie błota do zwyczajnych skórkowych.



N. 7. Wyszycie brzegu patarafki. Do ryc. 5.

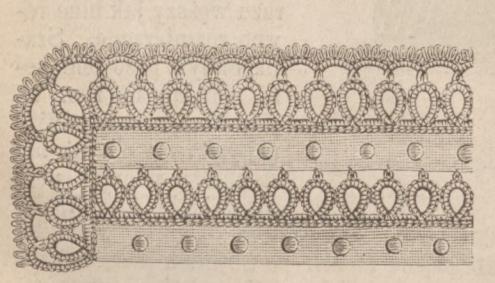
N. 21. podaje kalosz taki obrachowany na wysoki obcas. Tył kalosza, formuje gumowa tasiemka 2½ cent. szeroka, która otaczając obcas mocno kalosz przytrzymuje; do tasiemki przyszyta pętelka gumowa zapinana na guzik, umacnia lepiéj jeszcze kalosz.

N. 22—27. Zimowe kapelusze.

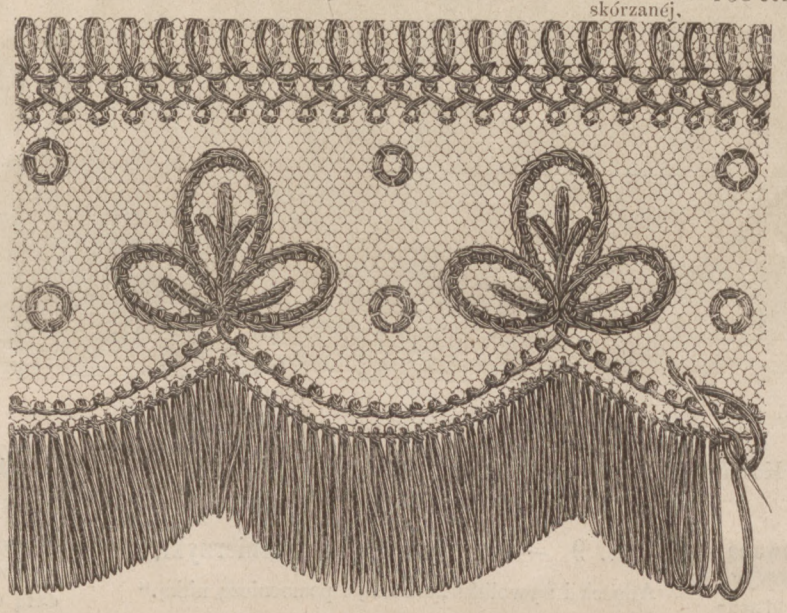
Nowością tegorocznych kapeluszy są 184 cent. długie i 33 cent. szerokie w koło szyi okręcane woale. Niektóre kapelusze, mają woale krótkie, ale za to 60—70 cent. szerokie.

N. 22. Okrągły kapelusz z kwiatem na boku.

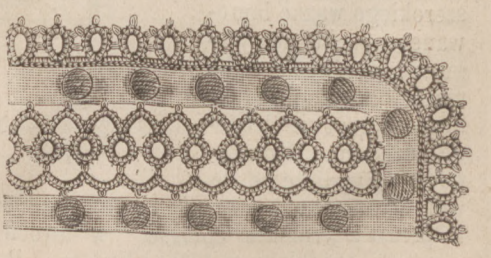
Czarny ten kapelusz kastorowy z wywiniętym brzegiem, opasany 2 cent. sze-



N. 9. Kolniezyk stojący z frywolitami i haftowanymi pęczkami.



N. 8. Szlak tiulowy z frendzlą.

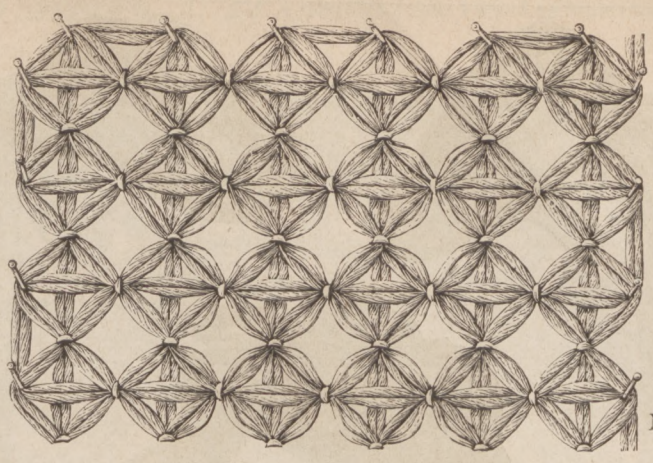


N. 10. Kolnierzyk stojący z frywolitami i haftowanymi pęczkami.

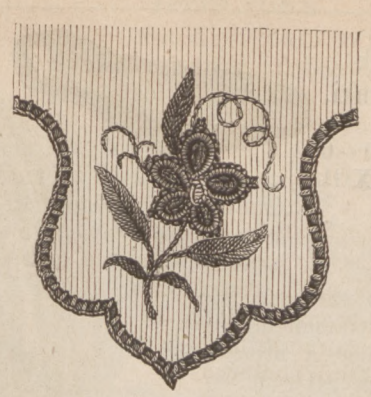
roką atłasową, czarną wstążką, ozdabia czarny gazowy woal. upięty w kokardę z boku, pośrodku któréj dany jest wielki kolorowy bratek. Do tyłu spadające strusie, czarne pióro, bardzo podnosi strój kapelusza.



N. 11. Lambrekina czyli wykład na etażerki koszyczki itp.



N. 18. Deseń do szalika włóczkowego ryc. 16.



N. 12. Lambrekina na etażerki, koszyki lub itp. Haft atłaskowy i frywolity.

dnéj stronie układana w podłużne fałdy i położona płasko, jak to widać na N. 27, po drugiéj daje się w buffy, podług ryc. 26; bufy okręca 5 cent. szeroka, czarna marszczona koronka. Rozeta 8 c. duża, ułożona z 10 cent. szerokiéj zielonéj wstążki i czarnéj koronki, wraz z czarnem piórem, zdobi kapelusz na przodzie. Tylny brzeg kapelusza, ubiera kokarda z trzech pukli, każdy 5 cent wynoszący, zakończona 11 cent szeroką koronką daną w około brzegu. Naszyjnik z atłasowéj zielonéj ruszy pliską zakończony, można dopełnić jeszcze czarną koronką dość wązką, dając go tak szeroki jak na rycinie, lub ciasno w około twarzy. Gładkie szarfy (ryc. 27) dają się 63 cent. długie, z czarnéj 11 cent. szerokiéj, mantynowéj wstążki.

N. 23. Okrągły kapelusz z piórami.

Płaska forma kapelusza z prostym rondkiem, obciąga się czarnym aksamitem, i opasuje kolorowym 35 cent. szerokim woalem, z 70 cent. długim końcem spadającym z tyłu, którego przepięcie ubiera jedno czarne, drugie kolorowe pióro.

N. 24—25. Okrągły kapelusz „Eugénie.“

Oryginalność téj formy polega na fasonie płaskim

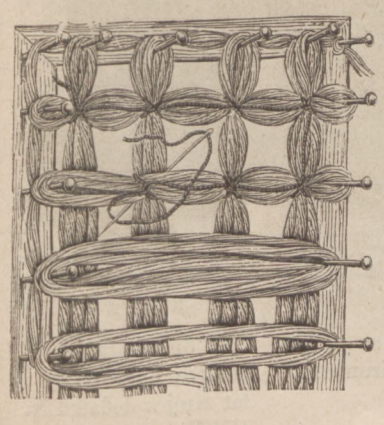


N. 14. Szalik włóczkowy.

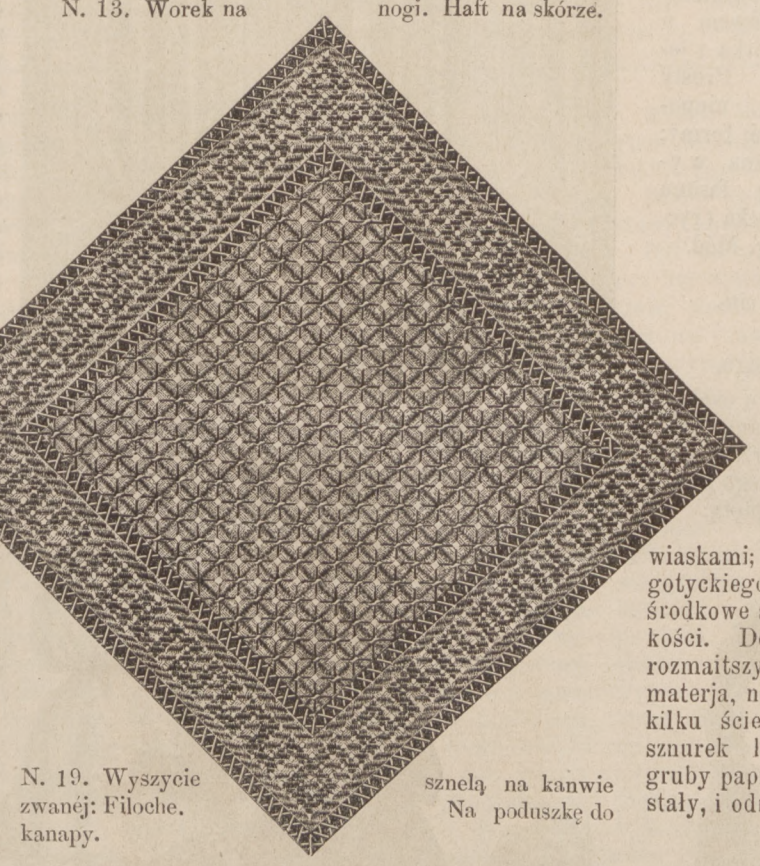
z tyłu, a podniesionym nad czołem (ryc. 25) który się także pokrywa czarnym aksamitem. Przód ubiera się 13 cent. szerokim aksamitnym kontrafałdowanym pasem, do połowy pokrywającym rondko, z tyłu wywinięte. Kokarda z krótkim końcem, z czarnéj 10 cent. szerokiéj mantynowéj wstążki, przepięta kolorowym i czarnym piórem ubiera tył kaleplusza.

N. 26—27. Kapelusze aksamitne wiązane pod brodą.

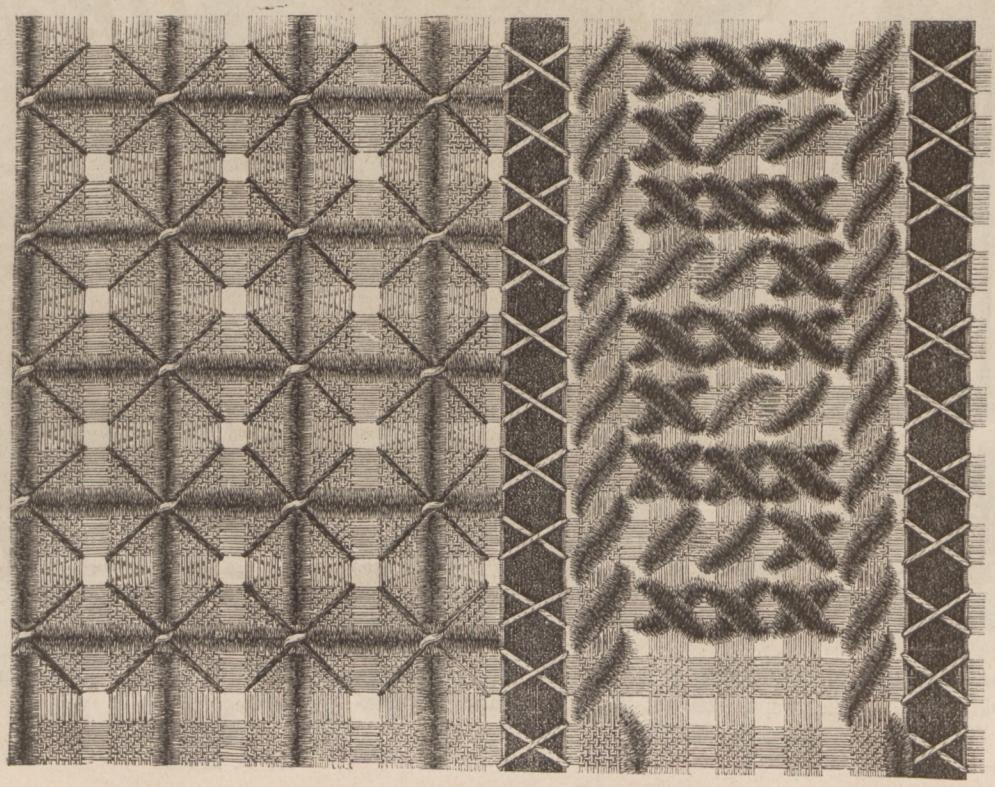
Obadwa kapelusze, przedstawiają jeden z obu stron ubrany z odmiennemi szarfami. Wypukłe dno kapelusza z zębem z przodu, z ciemnozielonego lub czarnego aksamitu, objęte jest zieloną albo czarną atłasową lamówką. Ząb przedni, podbity atłasem i oblamowany, wraz z tylnym brzegiem kapelusza, ubiera atłasowa pliska. Garnirunek przodu, formuje 11 cent. szeroka ukośna aksamitna listewka, po je-



N. 15. Wykonanie bombków w ramach do szalika włóczkowego. Do ryc. 14.



N. 13. Worek na nogi. Haft na skórze.



N. 20. Haft sznelowy na kanwie: Filoche: Wielkość naturalna.

N. 19. Wyszycie sznelą na kanwie zwanéj: Filoche. Na poduszkę do kanapy.

N. 28. Parawanik do świecy.

Deseń na dodatku N. IX Fig. 31.



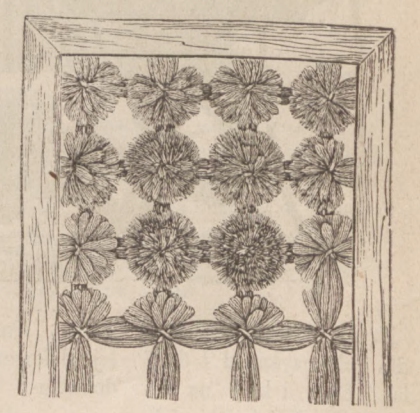
N. 16. Szalik włóczkowy.

Najlepiéj osłania się lichtarz ze świecą, przedstawionym parawanikiem. Podstawka z ciemnego wykrojona drzewa, składa się z trzech skrzydeł, połączonych zawiaskami; każda część, stanowiąca ramkę gotyckiego okna, ma 15 cent. szerokości u dołu; środkowe skrzydło ma 50, boczne po 47 cent. wysokości. Deseń na Fig. 31 podany, można zrobić najrozmaitszym sposobem; jako tło bierze się kolorowa materja, na któréj podług wzoru, przytwierdza się kilku ściegami złotego sznurka, czarny jedwabny sznurek lub sutasz. Deseń cały przeniesiony na gruby papier, wycina się, żeby same arabeskie pozostały, i odmieniając tło o ile możności pstrokate, daje się w rodzaju kolorowéj mozajki, którą tylko gust może urozmaicić.

N. 29 — 35. Okrycia dla dzieci.

N. 29. Paletot zimowy dla chłopczyka od 4 — 7 lat

Opis i krój na dodatku N. XV Fig. 51—54.



N. 17. Wykonanie w ramach bombelków do szalika na rycinie 16.

N. 30. Kaftanik dla małéj dziewczynki.

Krój (na wiek od 2—6 lat) na dodatku. N XIII Fig. 43 - . 45



N. 21. Gumowy kalosz na wysokie obcasy.

Model z czarnego czerwono mienionego pluszu, z podobnie mienionemi guzikami, ubierają atłasowe czarne pliski, białym atłasem wypustkowane.

N. 31 i 32. Talma z kapturkiem dla małéj panienki.

Krój jak do ryciny 23 w Ty. Mód 48.



N. 24. Aksamitny kapelusz „Eugénie.“



N. 25. Fason kapelusza do ryciny 24.



N. 34. Paletot ze stembnowanym garnirunkiem.

Paletot ten z białéj tkaniny w duży fijołkowy rzucik, ma lamówkę, kieszonki, i wykłady rękawów z fijołkowego atłasu, biało w kwadraty wystembnowane. Sukienka z fijołkowéj alpaki.

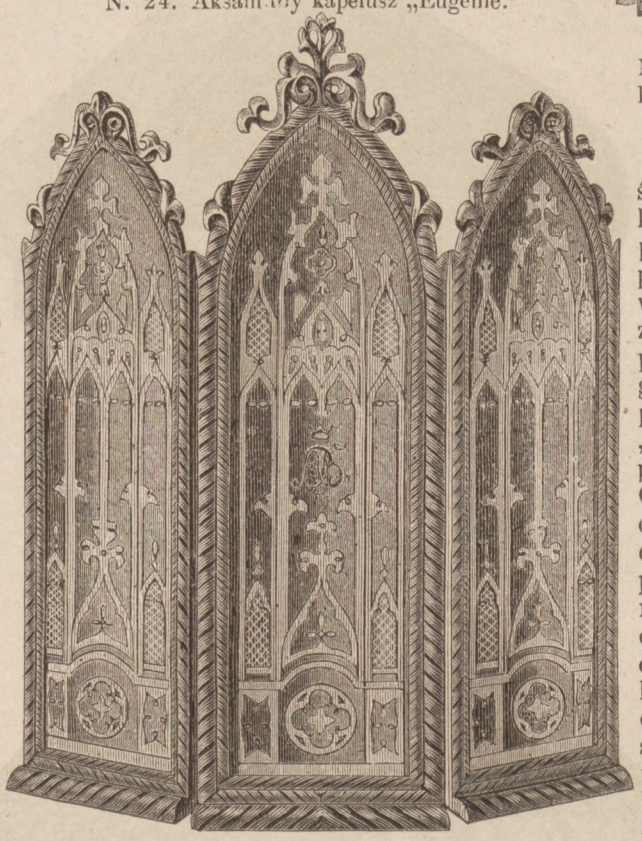
N. 35. Ubranie chłopca od 5 do 8 lat.

Kroj na dodatku N. VII F. 24—29.



N. 22 Kastorowy kapelusz z gazowym woalem.

Model ten, stanowiący pelerynę ze spadającym kapturkiem, żeby go zakładać w razie potrzeby na główkę, robi się z czarnego lub szkockiego kaszmiru albo flanelki. Kaszmir, wymaga lekkiego podwatowania z jedwabną, lub alpakową podszewką, odpowiednią kolorem atłasowem u podbiciu kapturka i jego kokardom. Prosty krój peleryny, niepotrzebuje osobnéj formy; kapturek można wykroić podług fasonu płaszczyka dziecka (ryc. 23 w N 48 Tyg. Mód.



N. 23. Parawanik do świecy. Deseń na dodatku N. IX. Fig. 31.



N. 23. Aksamitny kapelusz z piórami.

Model przedstawia majtki, ściągnięte na gumową tasiemkę u dołu, i kaftanik przepasany 3½ cent. szerokim paskiem z jasno-brązowego sukna, do których z przodu na guziki zapinana kamizelka, ściągnięta z tyłu na paski, powinna być z czarnego „Cambric,“ na białéj perkalowéj podszewce. Górny brzeg majtek sfałdowany podług znaków, obejmuje się prostym paskiem, 2½ cent. szerokim, opatrzonym 5 dziurkami, w równych danemi odstępach. Na kamizelce, w odpowiednich miejscach, przyszyte guziki, dozwalają majteczki przypinać żeby się dobrze trzymały. Jak to widzimy na ryc. 35 majtki, pasek i kaftanik, oszyte są 3½ cent. szerokim paskiem astrachanu. Pasek ten przy majtkach daje się 18 cent. wysoko. Czarne rypsowe guziki z jedwabnemi pętlicami, zapinają kaftanik na przodzie.

N. 26. Kapelusz z ciemno-zielonego aksamitu.

N. 27. Kapelusz z czarnego aksamitu.

N. 33. Płaszczyk z tartanu szkockiego.

Podobne płaszczyki, noszą różnego wieku osoby, niewyłączając dzieci; biorą na nie ciepłe tartany, flanelki albo tak zwany „waterproof plaid“ nieprzemakający i ciepły. Skrojony podług formy luźnego paletota ozdabia się peleryną, rozetą w tyle podpiętą.



N. 29. Paletot zimowy dla chłopczyka od 4 do 7 lat. Opis i krój na dodatku N. XV f. 51—54.

N. 30. Kaftanik dla małéj dziewczynki. Krój w dodatku N. XIII Fig. 43—45.

N. 31. Talma z kapturkiem spuszczonym. Krój kapturka N. XVI.

N. 33. Płaszczyk z tartanu szkockiego.

N. 32. Talma z kapturkiem na głowie. Krój kapturka N. XVI.

N. 34. Paletot ze stebnowanym garnirunkiem.

N. 35. Ubranie chłopca od 5 do 3 lat Krój w dodatku N. VII Fig. 24—29.

Fig. 24.

Fig. 10.

Fig. 1.

Fig. 5.

Fig. 7.

Fig. 22.

Fig. 28.

Fig. 30.

Fig. 13.

Fig. 26.

Fig. 27.

Fig. 12.

Fig. 19.

Fig. 29.

Fig. 23.

Fig. 11.

Fig. 17.

Fig. 6.

Opis Tablicy kroju oraz objaśnienie znaków.

N. X. Paletot „à panier" do kostiumu „Faustyna" Rycina 21 i 22 w Tyg. Mód N. 48.

Fig. 32 Przód. Fig. 32a Format zmniejszony.—Fig. 33 Połowa pleców.—Fig. 33a Format zmniejszony.—Fig. 34 Połowa stojącego kołnierzyka. Fig. 35 Rękaw Fig. 35a Format zmniejszony.

Spódnica do tego kostiumu może być gładka, z bogatem naszyciem, albo też podwójna podpinana; garnirunek z pluszu lub futrzanéj imitacji, może być jaśniejszy lub w ciemniejszym kolorze; riusza dana wokoło robi się z materjału okrycia. Obydwie rycины kostiumu przedstawiają ten garnirunek rozmaicie. Model z aksamitu lila-szafirowego, ma 5 cent. szeroko, czarny pluszowy garnirunek, i 2½ cent. szer. kontrafałdowaną riuszę z czarnego rypsu z lila atłasową wypustką. Zeszywszy główne części szwem niewidocznym na prawej stronie należy rozprasować brzegi szwu i podwrębić na obie strony. Przy szwie bocznym od stanu wypadają od D na plecach naznaczone fałdy, okrętką z przodami zszepione: naszycie wszędzie z wierzchu dane, przykrywa potem wszystkie nierówności tego połączen a. Zwracamy jeszcze uwagę na niezwyczajnie rozszerzoną formę rękawów u dołu, jak to na kroju rozeznać można. Pasek 4—5 cent. szeroki, spina z przodu kokarda przyrządzona podobnie, jak riusza garnirunku kontrafałdowanego. Większa cokolwiek kokarda, zakończa w tyle z materjału i garnirunku, przyrządzone trzy końce szarfy.

N. XI. Okrycie kardynalskie.—Rycina N. 18.

Fig. 36 Całość w małym formacie (Fig 36a i 36b).—Fig. 36a i 36b Przód z peleryną na 2 części przeciętą.—Fig 37 Połowa pleców.—Fig 37a zmniejszony format.—Fig. 38 Połowa stojącego kołnierzyka.—Fig. 39 Rękaw zmniejszonéj formy

Luźniejsze i wygodniejsze okrycie, jak wyżéj opisany paletot, bardzo nawet ciepłe przez dodanie długiego rękawa, używane jest najwięcéj przez starsze osoby. Rycina 17 przedstawia je modne i eleganckie z materjału, w kraty (szafirowe i zielone czarną szeroką lamówką rypsową, kokardami, kwastami i frendzlą przybrane. Rycina 48 podaje takie samo objęcie przy okryciu aksamitnem, poszerzone tylko potrójnem naszyciem jedwabnej plecionki. Odnośnie do form okrycia dołączamy jeszcze kilka niezbędnych uwag i objaśnień co do „linji przecięcia" Wielkość przodów Fig 36 wymagała, żeby na ramionach rozciąć i tak rozdzielone części, osobno na arkuszu krojów podać. Zmniejszony format okrycia wyraźnie wskazuje gdzie rozkrojoną formę złączyć należy żeby wzdłuż «linj rozcięcia» gwiazdka na gwiazdkę, podwójna kropka na odpowiednim znaku wypadała. Tak zestawiwszy formę, przykrawa się podług niéj dopiero z materjału w *całości*. Oblamowawszy na 4 cent. szer rypsową listewką brzegi, jak to format zmiejszony wskazujem później należy obie części zeszyć, stosując się do wskazówek pomniejszonego formatu przy czém daje się fałda pleców pod spodem ukryta. Brzegi szwów podwrębić trzeba, brzeg zaś niczem nieubrany całego okrycia jak również fałda pleców, lamują się wstążeczką; ostatnia daje się także na bocznym brzegu pleców który się podszywa pod drugą połowę przodów. Wzdłuż linji gładkiéj (Fig. 37 od T. do T. przyszywa się tylny brzeg peleryny do pleców Kokardy daje się rypsowe jak całe ubranie, haftki zapinają przody. Dla ciepła, dodaje się pojedynczy długi rękaw, którego formę pod Fig. 39, załączamy w zmniejszonym formacie. Rękaw przyczepia się do ramienia i pod pachą na wstążkach, długości takiéj, jakiéj wymaga dogodny ruch ręki. Pod N. 34 i 35 podajemy frendzle.

N. XII. Luźny paletot dla dziewczynek od 11—15 lat. (Rycina 12 w Tyg. Mód N. 48.

(z dodaniem pomniejszonéj formy)

Fig. 40 Przód.—Fig. 40a Zmniejszona forma.—Fig. 41 Połowa pleców.—Fig 41a Zmniejszona forma.—Fig. 42 Rękaw.—Fig. 42a Zmniejszona forma.

Rycina 12 przedstawia paletot z ciemno-szafirowéj syberyny. Garnirunek stanowi 4 cent. szeroka riusza z czarnego jedwabnego rypsu, gęsto kontrafałdowana: po obu stronach riuszy, idą gładkie rypsowe, lub atłasowe listewki.—

N XIII. Kaftanik dla dziewczynek od 2—6 lat. (Rycina 11 w Tyg. Mód N 48.

(z dodatkiem zmniejszonéj formy)

Fig. 43. Przód.—Fig. 44. Połowa pleców. Fig. 45. Rękaw.

N. XIV. Havelok dla chłopców od 4—8 lat. Rycina 20 w Tyg. Mód. N 48.

Fig. 46. Przód.—Fig 46a Zmniejszona forma.—Fig. 47. Połowa kołnierza do haveloka.—Fig. 47a Zmniejszona forma. Fig 48. Połowa pleców.—Fig. 48a. Zmniejszona forma.—Fig. 49 Połowa stojącego kołnierzyka.—Fig 50. Rękaw. Fig. 50a. Zmniejszona forma.

Przy łączeniu przodów i pleców z brązowego weluru zapinanego na 4 cent. duże atłasowe guziki, obie część kołnierza dołączyć należy, zważając na odpowiednie znaki. Część przodów idącą pod spód i dolny brzeg haveloka obrabia się gładko, część wierzchnia, rozcięcia kieszeni i obie części kołnierza, ubierają się i cesit. szeroką, przystębnowaną plecionką. Stojący kołnierzyk, lamuje się także plecionką.

N. XV. Paletot dla chłopców od 4—7 lat. Rycina 29 w Tyg Mód N. 49.

Fig 51. Przód.—Fig. 52 Połowa pleców. Fig. 53. Połowa kołnierza.—Fig. 54. Rękaw.

Paletot z ciemno-granatowéj syberyny ma 4½ cent. szer. naszycie z astrachanu; dane na brzegach przodów, u dołu, kieszeniach, kołnierzu, i wykładach. Odstąpiwszy na 10 cent. od wykroju pachy, wszywają się w szwie boku, patki astrachanem objęte, 4 cent. szer, a 12 długie zaokrąglone na końcach, spinające się na guzik i dziurkę w tyle.—Dwa rzędy guzików, z pętlicami zdobią i zapinają przody. Ta sama forma służyć może na zwykły zapinany paletot, ze stojącym lub wykładanym kołnierzem

N. XVI. Płaszczyk dla dziecka z kapturkiem. Rycina 31 w Tyg. Mód N. 49.

Fig. 55. Połowa karczka. Fig 56. Połowa kapturka.—

Płaszczyk ten 95 cent. długi a 224 szer., przyrządza się z białego, niebieskiego lub szkockiego tybetu, stosownie do upodobania. Trzeba go lekko podwatować dając jedwabną lub alpagową podszewkę pod uszytym już w całości, przyczepiając podług wskazówek ryciny do karczka (Fig. 56). Jedwabnym sznurem z kwastami ściągnięty u dołu, materję podszyty kapturek marszczy się u góry i łączy z wykrojem karczka wypustkowanym materją.

N. XVII. Krój tuniki z trenem do ryciny 24, 25, 26, i 36.

Fig. 57. Połowa tuniki z trenem.

Ten rodzaj tuniki używanéj także jako kostium z takich materjałów, które bez żadnych podsztukowań dobrze jako tren spływają i przy spinaniu drugiej strony, nie bardzo się załamują i gn'otą. Model który podajemy z garnirowanym stanikiem jak suknia, a z przodu i z tyłu jak kostium, zrobiony był z ciężkiego „poult de soie czarnego". Krótka spódnica, liczy 400 cent. obwodu, falbanki 10 cent. szer., dane po cztery w około i fartuszkowo na przodzie, mają 2 cent. szer, naglówek, przyszyty przestembnowaną atłasową listewką. Tunika której szczególne urządzenie ryc. 36 przedstawia, składa się stosownie do wskazówek mniejszego formatu, z dwóch całych prostych, dwóch na połowę ukośnych, i dwóch przednich krótszych brytów. Dolny brzeg tuniki w tyle oszywa się szeroką taśmą jak suknia, krótkie bryciki przednie, które obliczywszy od góry tylko na długość 37 cent. z resztą tuniki złączone być winny, ozdabiają się na kropkowanéj linijce. Fig. 57a, 9 cent. szer. falbanka Pod tym szwem, brzegi przednich brytów 43 cent. jeszcze aż do przyszycia falbanki długie, układają się w 4 duże fałdy i przyszywają do tylnéj części tuniki, Tak sfałdowane brzegi trzymają jeszcze 17 c. długości, i powinny dochodzić aż do zaczęcia garnirunku listewek na tunikie z tyłu danych. Fałdy te ozdabiają się następnie kokardą z materjału, która pokrywa także dziurkę w szwie daną, i zapinaną na guzik żeby się tunika niewiewała zbytecznie na krótkiéj kostiumowéj, spódnicy.

Na rycinie 36 widać sposób ściągania sznurków. To robi się w każdem szwie i przez środek całych brytów tylnych, przez przyszycie kółka, które na środku bryta podszyć trzeba kawałkiem materjału dla mocy. W pasku, który podług ryciny 36, obejmuje tunikę, dają się dziurki dla przewleczenia guzikiem na końcu opatrzonych sznurków. Gładki stanik podług ryciny 24 ubrany, falbaneczkami formującemi kwadratową chusteczkę. Krótką szarfę składa także garnirunek falbankowy. Krótki kaftanik kostiumu lekko się watuje, podszywa materją ozdabia pliskami rypsu i atłasu szerszemi i węższemi, które odznaczają rodzaj kamizelki i szerokie wykłady rękawów.

N. XVIII. Szmizetka podłużnie wycięta. Rycina 1 w Tyg. Mód N. 48.

Fig. 58. Połowa szmizetki.

N. XIX. Koszyk papierowy z haftowanemi medaljonami. Rycina 8 w Tyg. Mód N. 48.

Fig. 59. Desen na medaljony.—
Fig. 60. Cyfra na medaljony.—

Opis żardynierki. Rycina 8—10 w. N. 46 Tygodnika Mód.

Krystalizacja z ałunu i dębowe liście ze skóry.

Materjał: Druciana podstawa, na blaszanym postumencie, średniéj grubości drut mosiężny; dwa gatunki grubego i zupełnie cienkiego drucika kwiatów; nitki; czerwona włóczka; perełki (jak do grubéj kanwy), wprawiona żółtawo barania skórka, rozdwojona i miękka; flaszeczka kleju w płynie; drewniana kulka; szczypczyki; pędzelek; czerwone sukno.

Główna część, czyli z drutu odrobiona podstawa, na którą N. 10 dokładny rysunek podaje, przedstawia podłużny kwadrat z grubego drutu, z zaokrąglonemi rogami, 33 cent długi a 22 cent. szeroki. Na nim, przylutować trzeba poprzeczne cieńsze sztabki z dziewięciu drucików złożonej kraty, która stanowi zarazem denko podtrzymujące doniczki kwiatów z blachy czerwono lakierowane, 8 cen. wysokie; słupki z dwóch grubych żelaznych 44 cent. długich drutów, do których następnie mosiężnym drutem przytwierdza się całość, zaginają się w zęby we środku i na 10 cent od każdego końca, tworząc poziomo leżące zęby i dwie pionowe sztabk, w odstępach 12 cent dane jak to N. 10 objaśnia. Prócz tego, druciarz przyrządzić powinien 8 pojedynczych ponaginanych w gałązki sztabek; na jednym kawałku 18—20 cent. długim grubym z początku, cieńszym daléj służącym jako nóżki i zarazem korzonek układają się następnie liście dębowe ze skóry. Robiąc te druciane gałązki, trzeba uważać na załamania i wielkość nóżek, przyczem gałązki te, przytwierdza się pod zębami podstawy. Następnie podług małéj ryciny daje się otoczenie z koralików 8—10 cent. wysokie.—Jak to już opisywaliśmy, koraliki te formują się z drucianej tasiemki, i okręcają czerwoną przędzą; dla sztywności, dodaje się pod tasiemkę drut, jaki używają do podszycia kapeluszy. Przy robocie koralików, które okręcając czerwono, przytwierdza się zarazem (ryc. 10) do podstawy, daje się w odstępach 1 cent pojedyncze, na krótkich drucikach nawleczone czerwone paciorki raz z lewego, drugi raz z prawego brzegu tasiemki. Na krystalizacją, bierze się 1 funt ałunu, rozpuszcza w 3 kwartach miękkiéj wody wstawia na ogień, przecedza przez chustę, żeby płyn był klarowny w naczynie do krystalizowania przeznaczone i tak w nim zanurza żardynierkę, żeby garnirunek koralikowy dobrze się zamaczał. Nakrywszy naczynie, żeby się płyn zbyt prędko nie przestudził trzeba tak długo trzymać, póki się kryształki nie uformują. Przez 24 godzin tak w płynie moknąć musi, przy czém uważać należy, ażeby się wszędzie równo krystalizowało. Wyjąwszy, trzeba postawić dla wysuszenia na słońcu lub przy piecu, ażeby schnące kryształki, miały konieczną klarowność. Jeśli się bardzo pozlepiają, trzeba je porozdzielać nożykiem. Liście skórzane przykrawają się w różnéj wielkości podług ryci 9. i form dołączonych: zanużone w wodę, wyjmują się następnie i rozciągają delikatnem płótnem. Tak rozmiękczone łatwo przybierają wycinięcia, szczypczykami naśladujące żyłki; wielka środkowa naznacza się na dłoni, ząbki po bokach na palcach. Przed zupełném wysuszeniem liścia, kładzie się go na dłoni, lewą stroną na zewnątrz i walkuje kulką od robienia kwiatów, przez co prawa strona, nabiera wypukłości liścia. Cieniuttkie druciki, okręcone rozdartym skórzanym paseczkiem, przyklejonym na końcu, wsuwają się do połowy pod środkową żyłkę liścia, który się pociąga z wierzchu klejem gumowym, bardzo szybko. Rycina 9 przedstawia dwa liście, z których pierwszy jest z lewej strony, ciemniejszy, drugi, jaśniejszy zewnętrzną stronę przedstawia. Naturalne żołędzie i galki dębowe, klejem polakierowane, złączone z sobą drutem i klejem, przytwierdzają się na koronkach, także skórką okręconych. Przymocowanie ich na 8-u gałązkach drucianych samo z siebie wypada. Połączenie wszystkich pojedynczych cząstek, wymaga mosiężnego drucika, i uwagi na ryc. 10, Rycina ta, wskazuje także jak łączyć, pojedyncze pod żardynierką umieszczone gałązki z drutu, 4 we środku, 4 po bokach dane, grubym końcem opierają się niby nóżki jedna o drugą zachaczone. Po umieszczeniu wierzchniéj części żardynierki, druciana krata i wszystkie pozostające druciki, lakierują się bronzową farbą olejną. Patarafkę na modelu naszym, z czerwonego sukna, ozdabiają dwa rzędy wycinanych ząbków.

Przykrawanie materjałów podług pojedynczych krojów.

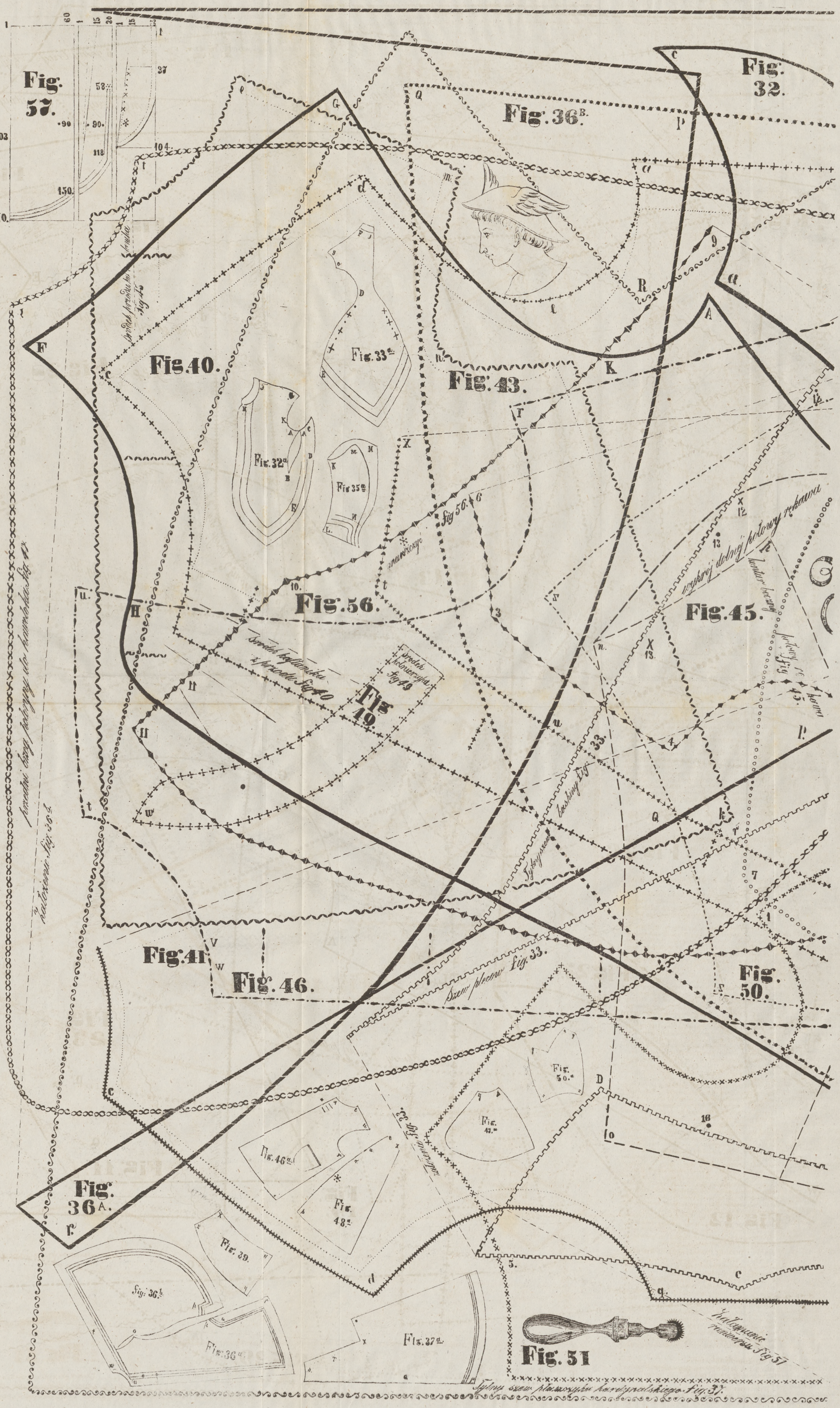
a. Każda forma, podaje zawsze tylko *połowę*; daje więc tylko *jeden przód* etc., trzeba więc zawsze dwie części przykrawać stosując się do wskazówek umieszczonych, albo do jakiego oznaczonego dodatku lub odstąpienia.

b. Formy podane przez połowę, wyglądają inaczéj, a linijka—oznacza połowę formy, która przy krajaniu podwójnie dana nie powinna się przecinać. Najlepiéj, kiedy forma, ze strony narysowaną linijką oznaczonej, przyłoży się do podwójnie złożonego materjału, wzdłuż linji składowej; wykrojoną formę ze strony konturów, po rozłożeniu podwójnego materjału, otrzymamy *w całości*

d Przydatki na obrąby i założenia, nieoznaczają się i nieobrachowywują przy żadnéj formie, trzeba więc na nie zawsze gdzie trzeba przypuścić przy krajaniu materjału. Przy stanikach, kaftanikach etc, przydaje się 1 i pół 2 cent. na wszelkie szwy, gdzie się wsuwają fiszbiny, w innych razach dostatecznie pół 1 cent. Każdy szew, powinien wypadać na oznaczonej linji, dla onego radzimy, przy odejmowaniu papieru od materjału, zaszewki i kontur formy, kółkiem lub nakłowaniem odznaczyć.

Kółko do kopiowania form.

Jest to mosiężne kółeczko, jakich do pierogów kucharze używają osadzone w drewnianéj rączce. Podłożywszy czysty arkusz papieru pod tablicę krojów, oprowadza się kontury potrzebnéj formy kółkiem, co przedstawia na białym papierze dość widoczne ślady. Wykroiwszy podług nich, otrzymujemy najdokładniejsze fasony. Można w ten sam sposób przeprowadzać formy na materjał.



Objaśnienie krojów i znaków.

N. I. Paletot luźny z wykładem. Ryc. 33. w Tyg. Mód N. 48.

Fig. 1 Przód (A, B, C, D, E.). – Fig. 1a Format zmniejszony.—Fig. 2 Połowa pleców.—Fig. 2a Format zmniejszony.—Fig. 3 Połowa kołnierzyka.– Fig. 4 Rękaw – Fig. 4a Format zmniejszony rękawa.

N. II. Paletot luźny ze stojącym kołnierzem. Rycina 19, 39 i 43 w Tyg. Mód N. 48.

Fig. 5 Przód.—Fig. 5 Format zmniejszony. –Fig. 6 Połowa stojącego kołnierzyka.

N. III. Wcinany paletot z ukośnym wykładem. Ryc. 14, 15 w Tyg Mód N. 48

Fig. 7. Przód.—Fig 7a Zmniejszony format.—Fig 8 Bok —Fig. 8 Zmniejszony format —Fig. 9. Połowa pleców.—Fig. 9a Format zmniejszony.—Fig. 10. Wykład.—Fig. 11. Połowa kołnierzyka. – Fig. 12 Rękaw.—Fig. 12a Format zmniejszony.

N. IV. Wcinany paletot z bretelkami Rycina 16 w Tyg. Mód N. 48.

Fig. 13 Przód.—Fig. 13a Zmniejszony format.—Fig. 14 Połowa kołnierzyka bretelkowego.—Fig. 14a Zmniejszony format.—Fig. 15 Połowa stojącego kołnierzyka.—

N. V. Paletot do figury „Kostium jesienny. Rycina 30 i 31 w Tyg. Mód N. 48.

Fig. 16 Przód. I-dno założenie.—Fig. 16a Format zmniejszony,—Fig. 17 Połowa pleców.—Fig 17a Format zmniejszony. Fig. 18 Zmniejszona forma rękawa (*).

N. VI. Luźny paletot z paskiem i szarfą dla dziewczynek od 6—10 lat. Rycina 13 w Tyg. Mód N. 48.

(z dodaniem formy zmniejszonéj)

Fig. 20 Przód.—Fig. 20a Format zmniejszony.—Fig. 21 Połowa pleców. Fig. 21a format zmniejszony.—Fig. 22. Połowa stojącego kołnierzyka.—Fig. 23. Rękaw. Fig. 23a zmniejszony format.

N. VII. Ubranie chłopca od 5—8 lat. Ryc. 35 w Tyg. Mód N. 49.

Fig. 24 Połowa majtek.—Fig. 25. Połowa kamizelki. Fig. 26 Przód kaftanika.—Fig. 27. Bok.—Fig. 28. Połowa pleców.—Fig. 29. Rękaw.

N. VIII. Kwadratowa szmizetka. Ryc. 5. w Tyg. Mód N. 48.

Fig. 30. Połowa szmizetki.

N. IX. Zasłona do świecy. Ryc. 28 w Tyg. Mód N. 49.

Fig. 31. Część deseniu.

Sposób zdejmowania pojedynczych form, z tablicy krojów.

a. Forma w całości, zupełnie rozłożona.

Na tablicy krojów umieszczone formy, rozróżnić można tylko przez rozmaitość linijek, choć jedna na drugą nieraz zachodzi, ale kontur każdéj ma odrębny rysunek ząbkowany, kropkowany co ułatwia zdjęcie pojedynczéj cząstki. Każda część czyli *figura* ma osobną porządkową liczbę, zdjęcie jéj jest bardzo proste, przy użyciu kółka na dzisiejszych krojach przedstawionego. Przypominamy że zamiast sztywnego papieru, można użyć muślinu dość grubego, żeby się nie ciągnął, a przeniosłszy kółkiem formę z tablicy, oprowadzić powstałe linijki ołówkiem, dać numera z formy i wszystkie znaki potrzebne. Tak przygotowaną, wycina się podług konturów, i dopasowywa na figurze.

b. Kroje z założeniami.

Niektóre formy za wielkie, żeby się mogły zmieścić na jednym arkuszu, wymagają dwóch lub jednego **załamania** czyli założenia. Każde takie założenie, oznacza się linijką: (– – – – – – – –) jak to przy stronie stanowiącéj połowę każdéj formy się daje, z objaśniającemi wyrazami. Do rozprostowania takich założeń, używamy dwóch sposobów: 1-mo Część załamaną przerysowywa się oddzielnie i przyszywa lub przykleja do głównéj części poprzednio zdjętéj, uważając, aby linije stanowiące załamanie, dobrze w obydwóch częściach na siebie zachodziły. Z takiéj formy przykrawa się dopiero w całości. 2-o Przenosi się najpierw główną część formy na wielki kawał papieru czy muślinu w całości, a potem dopiero część załamana, której narysowane kontury po lewéj stronie, przypadają dobrze do prawéj strony części głównéj.

c. Formy do podłużania (ze strzałką).

Są formy które tylko od góry trudniejsze, dalej zupełnie proste, nie wymagają podania w całości; w takim razie po narysowaniu trudnych części, daje się po każdéj stronie strzałka wskazująca, że idąc w jéj kierunku prosto, można formę podłużyć stosownie do wzrostu osoby, połączając obie linje u dołu poprzecznie lub okrągło stosownie do opisu. Takie formy trafiają się najczęściéj przy koszulach, fartuszkach i modnych kliniastych spódnicach. Przy tych ostatnich podaje się tylko górna część brytów, od stanika daléj w krajaniu trzeba się stosować do cyfr podających długość brytów które po zestawieniu, jeszcze u dołu obcyrklować trzeba. Podłużanie brytów jest bardzo łatwe, do strzałki przykłada się linja i odrysowywa podług niéj prosty kierunek. Dla poszerzenia u dołu materjałów wązkich wstawiają się kliny. Chcąc otrzymać dobry obwód u dołu radzimy naznaczyć przy każdym szwie bryta jego długość, a odrysowawszy cyrkiel kredą, obkroić.

d. Zmniejszone formy.

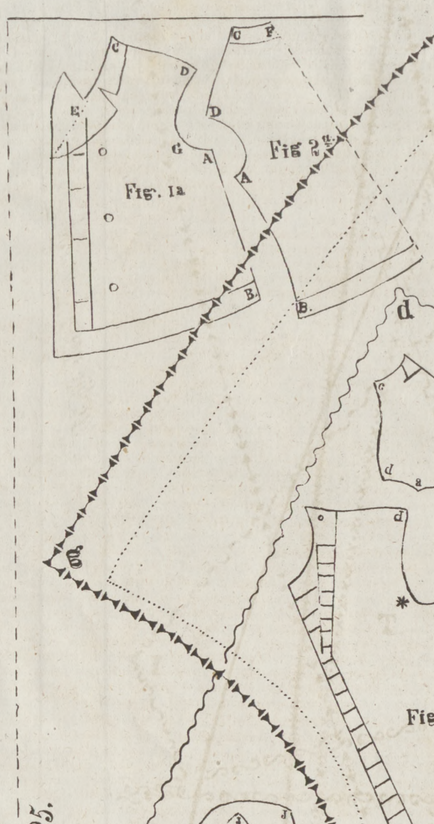
Przy formach wymagających założenia, dodajemy jeszcze „format zmniejszony,“ czyli małą foremkę w całości, która niemając założeń daje dokładne wyobrażenie fasonu, jeśli ten jest bardzo łatwy, czasem ograniczamy się tylko na małej foremce, posługując się w powiększenie jéj liczbami podanemi w opisie na długość i szerokość przedmiotu, uważając że łatwiéj z takiéj formy coś wykroić niż z wielkiéj, wymagającéj kilka założeń.

Powiększenie lub zmniejszenie formy.

Przy stanikach do figury (paltoty, staniki, kaftany) oznaczamy zawsze miarę obwodu górnego i dolnego brzegu każdéj części, żeby wziąwszy miarę figury, można ją zastosować zmniejszając lub powiększając formę. Jeśli forma jest trochę za szeroka, dostatecznem jest zaszycie boku, ramienia i zaszewek, które nigdy jednak niepowinny posuwać się *wyżéj* ku ramieniowi. Jeśli różnica jest większa, trzeba jeszcze ująć z brzegu przodów przez sam środek pleców. Powiększając, w tych samych miejscach przypuścić należy. Najczęściéj przy formach stanikach, oznaczamy kropkami, gdzie wypada zrobić podobną poprawkę. Szwy również dają się dopiero po dobrem przymierzeniu, poprawki wszelkie w formie, trzeba porobić przed krajaniem z materjału. Nadmieniamy jeszcze, że przed przymierzeniem szwy boków i ramion, powinny być tylko zafastrygowane, wszelkie inne na dobre uszyte. Najłatwiéj na każdą figurę, dopasować luźny paletot. Brzegi przodów i sam środek pleców trzeba ująć lub poszerzyć na muślinowéj formie, zastosowywując do tego wycięcie szyi. Jeśli pacha jest za bardzo głęboka, trzeba dać również małą poprawkę, wszystkie te poprawki, muszą być tak *dopasowane, żeby przy krajaniu z materjału nie robiły utrudzenia.*







drugie zalozenie Fig: 37.

Fig 37

Fig. 35

Fig. 34.

Widok kawałka z tyłu Fig: 55.

Fig. 55.

Fig. 47.

Fig. 40a

Fig. 41a

Fig. 42a

Fig. 48.

Fig. 53.

Fig. 60.

Fig. 52.

Fig. 38

Fig. 54.

Fig. 58

Fig. 42.

Fig. 33.

Fig. 44.